NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 10 Marek.

Rok XVII. Kraków, 27. listopada 1920. Nr 48.

Mord polityczny na Górnym Śląsku



Niewyśledzeni dotąd sprawcy kładą trupem renegata Teofila Kupkę w Bytomiu.

W LISTOPADOWĄ ROCZNICĘ!...

Po raz dziewięćdziesiąty posunęła się na zegarze dziejowym wskazówka o tą sekundę, którą w życiu nazywamy rokiem, od chwili, gdy w ową pamiętną noc listopadową zerwał się Naród Polski, aby zrzucić ze siebie pęta niewoli. Szlachetny ten i bohaterski wysiłek Ojców naszych, z powodu braku poparcia ze strony naszych rzekomych przyjaciół, pozostał bez skutku.

Świat przeszedł do porządku dziennego nad zbrodnią, dokonaną na Polsce, a zaborcy zacisnęli tem silniej krępujące ją okowy, głosząc brutalnie: *„Finis Poloniae...“*

Ale sami w to nie wierzyli! Widmo skrwawionej i rozdartej na trzy części Męczennicy, stawało przed oczyma ich stale, spędzając sen z powiek, a jakiś niewidzialna ręka na ścianach ich komnat cesarskich wypisywała nieustannie złowróżbne: *Mane-Tekel-Fares.*

Czuli, że zbrodnia ta nie może ujść bezkarnie i z obawy przed zemstą wypowiedzieli walkę na śmierć i życie wszystkiemu, co polski na sobie nosiło charakter.

Naród polski jednak nie zginął, a z upadku chwilowego miał się podnieść nawet wcześniej, niż sądzono.

Wybiła godzina sprawiedliwości, a przyspieszyli ją ci właśnie, których przodkowie postanowili nam zgubę i zagładę. W pyle ulicznym legły korony trzech, jak się zdawało, wszechpotężnych cesarzy, a Polska, niezależna i zjednoczona, zmartwychpowstała! Kamień Jej grobowy odwaliły słabe ręce wnuków Tych, którzy, lat temu dziewięćdziesiąt, naprożno o to lali krew serdeczną na polach Grochowa... Młode pokolenie, wychowane w niewoli, nie zapomniało o działach swych Dziadów i Ojców, zostało im wiernem i stwierdziło to czynem.

Z tych, którzy przed laty dziewięćdziesięciu stanęli do boju o wolność Macierzy, kilku zaledwie danem było oglądać dogasającemi oczyma wschodzącą dziś dla Polski Jutrzenkę Wolności. Schodzą z tego świata z błogosławieństwem na ustach dla swych wnuków, wierzącym tym świętym hasłom, które stanowiły cel ich życia.

Dziś, w wolnej Polsce, obchodzimy tę narodową rocznicę po raz trzeci, a po raz pierwszy bez wtóru dział, których huk dolatywał do nas od strony kresów Rzeczypospolitej. Jednoczy nas Wiara w świętość naszej sprawy, Nadzieja lepszej przyszłości, dzięki wspólnej pracy, jedności i zgodzie i bezgraniczna Miłość dla Tej, która po stuletniej przeszło niewoli, zrzuciwszy krępujące Ją więzy i okowy, budzi się do nowego życia i do dawnej chwały.

Daj Boże, by te trzy cnoty stały się naprawdę naszemi cnotami narodowemi!..





Armia polska swemu Naczelnemu Wodzowi: Uczestnicy w uroczystości wręczenia buławy marszałkowskiej Naczelnikowi Piłsudskiemu w Warszawie, w dniu 14 listopada. — Przy ołtarzu biskup polowy X. Gall, poniżej na lewo X. kardynał Kakowski w otoczeniu duchowieństwa. (Fot. Wejucki, Warszawa.)

Mord polityczny na Górnym Śląsku.

(Do illustracyi tytułowej).

W miarę jak zbliża się termin plebiscytu, stosunki na Górnym Śląsku zaostrzają się coraz bardziej. Niemcy wytężają wszystkie siły, aby nie dopuścić do połączenia tego kraju z Polską, decydują się nawet na usamowolnienie go i zaliczenie jako państwa związkowego w skład Rzeszy. Działalność w tym kierunku rozwinięto w ostatnich czasach bardzo energiczną, na cele agitacyjne płyną z Berlina miliony, a po całym obszarze uwijają się tysiące agitatorów, zapewniających polską ludność Górnego Śląska, że jej przyszłość tylko w ścisłym związku z Niemcami.

Jednym z takich agitatorów niemieckich, działającym na niekorzyść własnego narodu był Teofil Kupka, pochodzeniem Ślązak, ostatnio wydawca wychodzącej w języku polskim i niemieckim za niemieckie pieniądze „Woli Ludu", pisma, poświęconego propagandzie idei niezależnego Górnego Śląska.

Kupka był doniedawna urzędnikiem polskiego komisaryatu plebiscytowego. Zorganizował on związek pracowników plebiscytowych, szczepiając w jego członków idee partykularne ślązakowskie i bolszewickie. Kiedy przekonano się, że jest to robota niemiecka, obliczona na rozbicie polskiej akcyi plebiscytowej, wydalono Kupkę z komisaryatu. Odtąd Kupka rozpoczął zaciekłą akcyę przeciwko komisaryatowi polskiemu, a osobliwie przeciwko komisarzowi Korfantemu zapomocą odezw publicznych, rozrzucanych skwapliwie przez pisma niemieckie i rozchwytywanych. W ostatnich dniach zaczął wydawać „Wolę Ludu", którą również kazał bezpłatnie rozdawać. Ponieważ zaś Kupka był ubogim, było rzeczą jasną, że agitacyę tę uprawiał za pieniądze niemieckie.

W ostatnich dniach otrzymano w polskich kołach wiadomość, że stosunki między Kupką a jego protektorami znacznie się oziębiły. Nabrano o nim przekonania, że jest to człowiek niepewny, który gotów zdradzić Niemców.

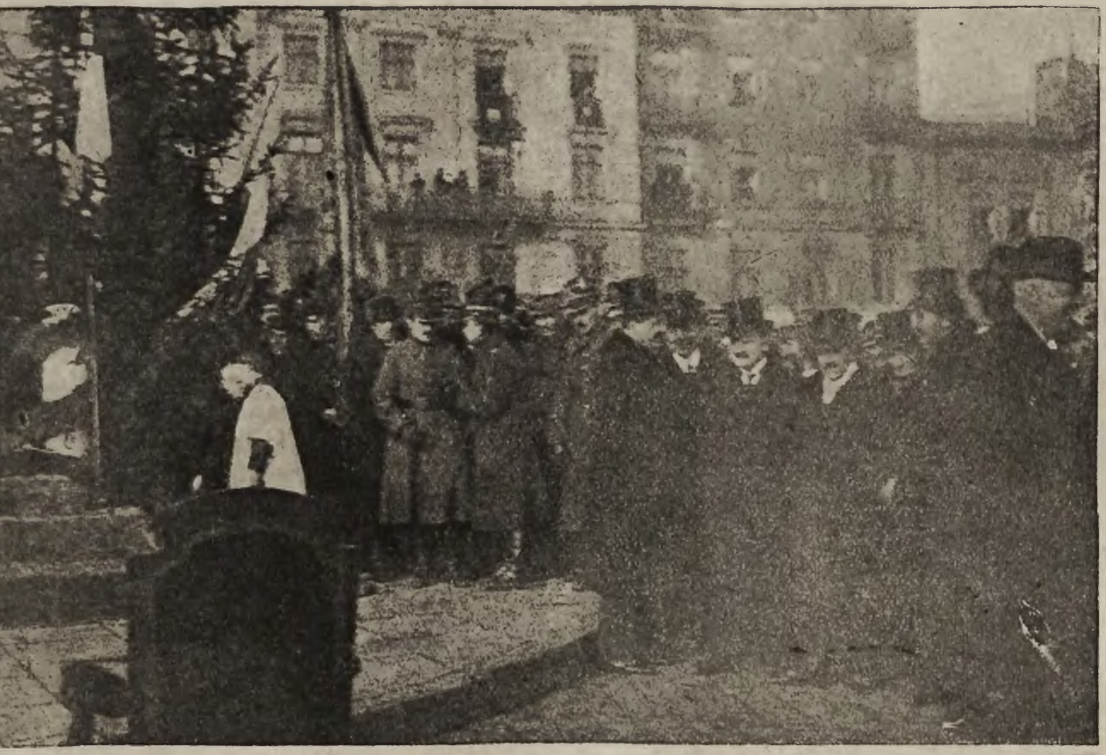
I na tem tle należy szukać motywów mordu, którego ofiarą padł Kupka w dniu 20 b. m. Mordu dokonano w sobotę o godzinie 5 minut 15 po południu w mieszkaniu prywatnem. Dwu obcych ludzi zgłosiło się do pracy plebiscytowej p. Kupki. W chwili, gdy zaczął z nimi rozmawiać, dali do niego cztery strzały, które położyły go odrazu trupem. Sprawcy zbiegli niepostrzeżeni i nie zostali dotąd wyśledzeni.

Prasa niemiecka naturalnie wszczęła zaciekłą akcyę antypolską i przedstawiła mord jako zemstę polską.

Armia polska swemu Naczelnemu Wodzowi.

Stwierdzeniem tej serdecznej łączności, jaka panuje w wojsku polskiem pomiędzy przełożonymi a podwładnymi, a zwłaszcza uznania, podziwu i miłości dla osoby Naczelnego Wodza, będącego wcieleniem najpiękniejszych cnót rycerskich dawnej Polski, była uroczystość, która się odbyła w Warszawie, w dniu 14 listopada b. r.

Wojsko polskie w dniu tym ofiarowało swemu Naczelnemu Wodzowi i pierwszemu marszałkowi armii, złotą buławę marszałkowską, widomy znak jego władzy, a zarazem i uczuć jakie dlań żywią. Serdeczne te nici, zadzierzgnięte na polach walk, gdzie Naczelny Wódz stanął w jednym szeregu z szarym tłumem żołnierskim, stwierdzają, że armia polska uważa się za jedną rodzinę, a jako taka zdolną jest do wielkich czynów, wysiłków i poświęceń, których już tyle złożyła dowodów.



Armia polska swemu Naczelnemu Wodzowi: Ciało dyplomatyczne podczas uroczystości na placu Zygmunta w Warszawie w dniu 14 listopada. (Fot. Wojucki, Warszawa.)

Uroczystość wojskowa na Placu Zygmunta w Warszawie w dniu 14 listopada była niejako rodzinną uroczystością armii polskiej, ale sercem brał w niej udział cały naród, stawiający swego Naczelnika i Wodza w rzędzie największych bohaterów.

Miasto przybrało uroczysty wygląd. Domy udekorowane chorągwiami o barwach narodowych. Od rana tłumy spieszyły na plac Zygmunta. O godzinie 12 w otoczeniu sztabu przybył Naczelnik Państwa, witany entuzyastycznymi okrzykami. Po przeglądzie warty honorowej, odbyła się msza polowa, celebrowana przez X. biskupa Galla, poczem nastąpiła uroczysta chwila poświęcenia buławy przez kardynała Kakowskiego.

Następnie przemówił gen. por. Karol Trzaska Durski, jak następuje:

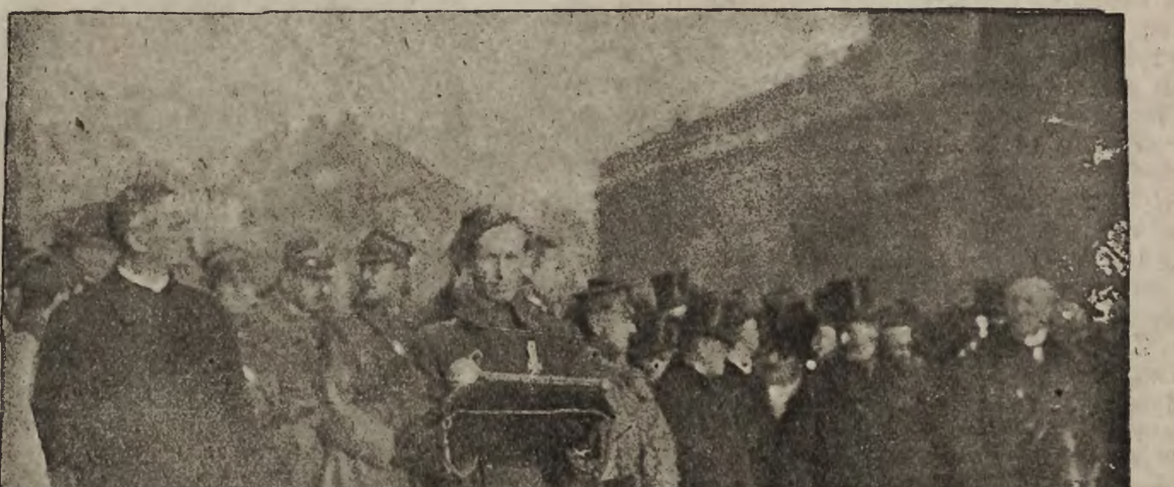
„Wodzu Naczelny. Ukochałeś nadewszystko Polskę i widziałeś, iż wolność zdobywa się i broni tylko orężem. Dlatego też ukochałeś jednocześnie wojsko. Twoja miłość okazała się silniejsza, aniżeli twierdze moskiewskie, aniżeli niemieckie fortece. Stworzyłeś wojsko, wyzwoliłeś Ojczyznę i ugruntowałeś Jej niepodległość. Naczelny Wodzu! Stoi dziś przed Tobą wojsko polskie, najstarszy generał i najmłodszy szeregowiec, który wpierw zdobył najszczytniejszy dla żołnierza znak krzyża cnoty żołnierskiej, aby w imieniu całego wojska, w imieniu setek tysięcy wiernych i szczerych serc żołnierskich zapewnić Cię o miłości, jaką oni dla Ciebie przepełnieni, o czci, jaką imię Twoje otoczono, aby Ci złożyć w darze widomy znak Twej godności wojskowej, buławę (Szeregowiec Jan Żywek z 5 p. Legionów podaje Naczelnemu Wodzowi buławę, spoczywającą na podnosze). Wodzu Naczelny, pierwszy marszałku Polski! Skinienie Twej buławy zawsze i wszędzie zastanie nas gotowymi. Za wyzwolenie Ojczyzny za odparcie wrogich najazdów, cześć Ci i chwała! Zdrój nam!"

Okrzyk ten zgromadzona generalicya, członkowie misyi dyplomatycznych, Rządu i Sejmu, powtórzyli trzykrotnie.

Po południu w sali Rady miejskiej odbyła się uroczysta akademia z okazyi drugiej rocznicy odzyskania niepodległości i wręczenia buławy marszałkowskiej Naczelnikowi Państwa. U stołu prezydyalnego zasiedli biskup Gall, p. Supiński, prof. Limanowski i wicemarszałek Sejmu Osiecki. Przy wejściu Naczelnika Państwa na salę orkiestra odegrała hymn narodowy. Następnie p. prezes Baliński w krótkich słowach przemówił do przedstawicieli misyi wojskowych zagranicznych.

Pierwszy zabrał głos sędziwy prof. Limanowski, podkreślając, że Polska, która swym wysiłkom zawdzięcza byt niepodległy, swoim również wysiłkiem pokona wewnętrzne trudności. Dalej mecenas Paschalski piękne swe przemówienie w którem zobrazował doniosłość historyczną 10 listopada, zakończył słowami (zwracając się do Naczelnika Państwa): Przyszedł i pokonał, jak światło pokonywa mrok, który ustąpić musi. Za to, żeś czyn tworzył, za to, żeś o niepodległość walczyć uczył, hołd Ci składamy najgłębszy. Poczem wzniósł okrzyk: Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski, Wodzu, niech żyje! Okrzyk ten powtórzyła entuzyastycznie licznie zebrana publiczność.

Wreszcie p. Solska wypowiedziała wiersz p. t.: „Mundur na nim szary", zaś p. Jaracz, artysta Teatru Polskiego odczytał poświęcone Naczelnikowi Państwa wiersze Lechonia i Słońskiego. Opuszczającego salę Marszałka Piłsudskiego zebrani żegnali długo niemilknącymi okrzykami.



Armia polska swemu Naczelnemu Wodzowi: Szeregowiec Jan Żywak z 5 p. Legionów z buławą marszałkowską, ofiarowaną Naczelnemu Wodzowi Piłsudskiemu przez armię polską. Fot. Wojucki, Warszawa.)

Po uroczystości na placu Zygmunta wzięły udział depatacye wszystkich pułków z całej Polski.

Powrót lwowskich ochotników.

Na naszym wschodnim froncie zamilkł huk dział i warkot karabinów maszynowych. Czy na długo, tego powiedzieć nie mogą nawet najwybitniejsi politycy. Rozejm w Rydze wprawdzie podpisano, ułożono też preliminarya przyszłego pokoju między obiema wojującemi stronami, zbyt dobrze przecież znamy obecny rząd rosyjski, aby sobie nie zdawać z tego sprawy, że może bardzo łatwo, korzystając

s pierwszej lepszej nadarzającej się sposobności, wszystkie układy uważać za niebyłe i rozpocząć na powrót kroki wojenne. Jeżeli się Trockiemu uda w samej rzeczy załatwić się ostatecznie z Wranglem, na co się zanosi, pozbywszy się jednego już



Powrót lwowskich ochotników: Kazanie X. biskupa Bandurskiego wygłoszone do ochotników 205 p. art. pol. na Błoniach Janowskich w dniu 14 b. m.

poważniejszego wroga, może rząd sowiecki bardzo łatwo przejść do dalszego ciągu porachunków z Polską, zwłaszcza, że nawet Lenin, uważany dotąd za przedstawiciela bardziej pokojowo usposobionej partyi, oświadczył niedawno, iż samodzielna Polska jest największem niebezpieczeństwem dla sowieckiej Rosyi.

Redukuje się więc siły zbrojne, ale się frontu wschodniego bynajmniej nie zwija. Czujna straż na wschodnich kresach strzeże granic Rzeczypospolitej, a i wewnątrz kraju musi być wszystko przygotowane na ewentualną niespodziankę, mogącą nas spotkać nawet wcześniej, niżby kto przypuszczał.

Żegnając też żołnierzy, rozpuszczanych obecnie do domów, kładzie się na to silny nacisk, że w najbliższym już czasie może się Ojczyzna zwrócić do nich o czynną, a tak skuteczną pomoc.

Jesteśmy zatem, jak na wulkanie, który wprawdzie przygasł, ale lada chwila może wybuchnąć ze zdwojoną siłą i to przeświadczenie każe się mieć na baczności i z nieufnością spoglądać w stronę wschodniego frontu, gdzie ta chwilowa cisza może być bardzo łatwo zwiastunką nadciągającej burzy, tem groźniejszej, że rząd sowiecki, uporawszy się z Wranglem, wszystkie swe siły może rzucić na nas.

W dniu 14 bm. witał Lwów w swych murach ochotników, powracających zwycięsko z pola walki. Był to 205 pułk artyleryi polowej, tak chlubnie zapisany w dziejach ostatnich walk we wschodniej Małopolsce. Formacya ta zostaje obecnie zwinięta, a ochotnicy, którzy tak pięknie spełnili swe obowiązki obywatelskie, rozpuszczeni do domów.

Z tego powodu odbyła się na Błoniach Janowskich, obok Lotniska, uroczysta msza polowa, którą odprawił X. biskup Bandurski w asystencyi licznego kleru. Na polach ustawiło się sześć baterji. W pobliżu ołtarza zajęli miejsca reprezentanci D. O. G. komendy miasta, Rady miejskiej, liczne zastępy oficerów i publiczności. Po nabożeństwie przemawiał X. biskup Bandurski, wzywając ochotników, którzy obecnie będą rozpuszczeni do domów, do dalszego nieustannego pogotowia i owocnej pracy w odbudowaniu ojczyzny. Orkiestra odegrała hymn narodowy. Wiceprezydent miasta Dr Stahl złożył ochotnikom podziękowanie imieniem miasta za ich gorliwą pomoc, jaką nieśli w obronie miasta. Następnie odczytano rozkaz zastępcy komendanta D. O. G., pułkownika Jasińskiego, z wyrazami uznania dla ochotników, poczem pułkownik Jasiński, pułkownik bryg. Mączyński, płk. artyleryi Sniadowski, po przemówieniach wznieśli okrzyk na cześć Ojczyzny i Naczelnika Państwa, kilkakrotnie powtórzony przez zebranych. W końcu przemawiali komendanci ochotniczej artyleryi, podpułk. Aleks. Lewicki i ogniomistrz sztabowy Hoszczyński. Mówcy nawoływali do pogotowia narodowego. Po nabożeństwie odbyła się w mieście przed kolumną Mickiewicza defilada artyleryi.



Powrót lwowskich ochotników: Przedstawiciele wojskowości podczas mszy polowej na Błoniach Janowskich w dniu 14 b. m.

Wiec w sprawie wileńskiej

w Częstochowie.

W ruchu, jaki ogarnął całą Polskę z powodu sprawy Wileńszczyzny, nie mogła pozostać w tyle i Częstochowa, biorąca zawsze tak żywy udział w życiu narodowem. Ze stolicą Litwy łączą ją tem serdeczniejsze i ściślejsze nici, że, gdy tu Królowa Korony Polskiej obrała sobie siedzibę na Jasnej Górze, tam z Ostrej Bramy rządzi Ona Wielkiem Księstwem.

Mieszkańcy Częstochowy chcieli zamanifestować łączność narodową z braćmi z nad Niemna i Wilii, wyrazić im współczucie z powodu ich ciężkich przeżyć, dodać siły i otuchy do dalszej walki i zapewnić zarazem, że gotowi są zawsze do pospieszenia z czynną pomocą, gdyby tego kiedykolwiek zaszła potrzeba.

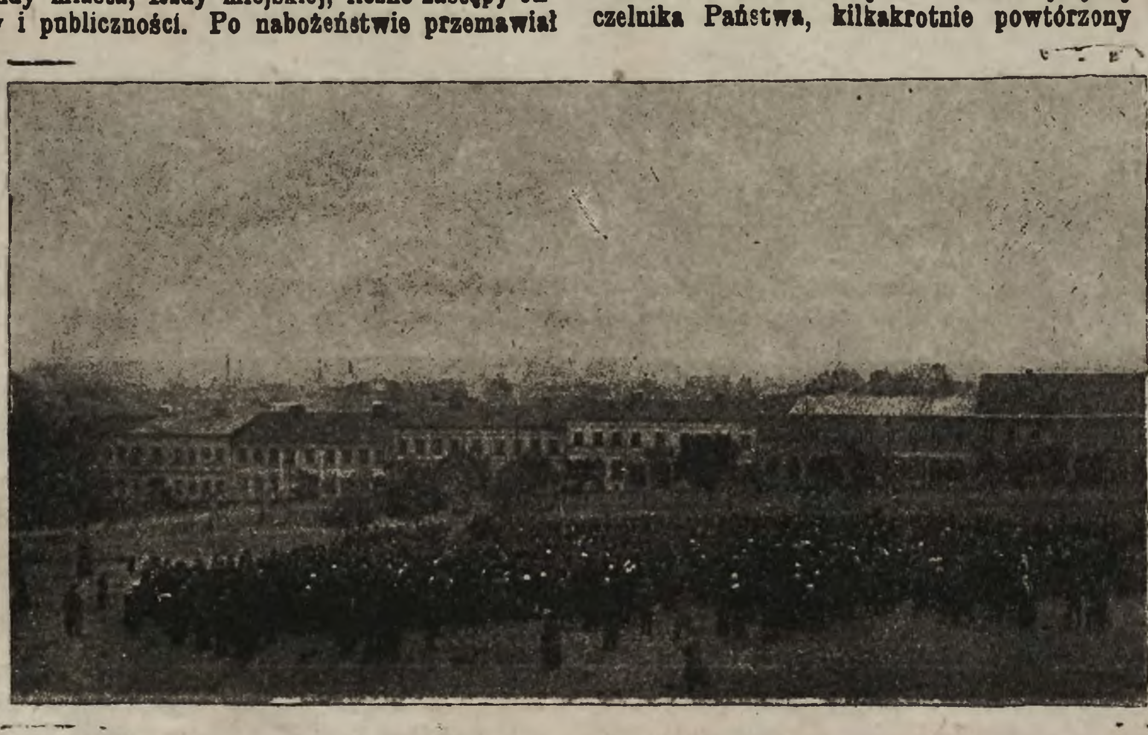
W wiecu, jaki z powodu Wilna odbył się w listopadzie w Częstochowie, wzięły udział tysiące mieszkańców miasta i okolicy, bez różnicy zapatrywań politycznych, aby w ten sposób zaznaczyć, że w pracach tak ważnych, obchodzących całą Polskę, niema u nas stronnictw, są tylko Polacy, gotowi każdej chwili nie tylko do pięknych słów, ale i do skutecznego czynu.

Jeżeli w samej rzeczy ma być braną w rachubę wola narodu, jak to zapowiadali tylekroć przedstawiciele Koalicyi, lud polski w kwestyi Wileńszczyzny wypowiedział się już aż nazbyt głośno, jasno i stanowczo. Zbierając te głosy, które odezwały się nie tylko nad Wisłą i Wartą, ale także i nad Niemnem, powinna Koalicya, zwłaszcza zaś jej widoma przedstawicielka, Liga Narodów, dojść do przekonania, że cały Naród polski żywi jedno przekonanie, iż Wilno było, jest i musi pozostać polskiem. Zwłaszcza zaś głosy mieszkańców samego Wilna i okolicy muszą być brane poważnie w rachubę, jeżeli zasada, że narody mają same stanowić o swym losie, nie ma być tylko czysto akademicką formułą, nie znajdującą zastosowania w życiu praktycznem, co zaś ważniejsze, zwalczaną nawet przez samych tych, którzy ją umieścili w swym programie.

Wiec częstochowski odbył się pod gołym niebem, po poprzedniem wysłuchaniu mszy św., odprawionej przed cudownym Obrazem w jasno górskim kościele. Morze głów ludzkich zalało pole wiecowe, nastrój ludności i jej powaga świadczyły aż zanadto wymownie o zrozumieniu ważności sprawy, tak żywotnej dla całego narodu polskiego.

Wygłoszono szereg przemówień, stwierdzających niezłomną wolę wszystkich stronnictw w sprawie Wileńszczyzny i przyjęto jednogłośnie szereg rezolucyi, które następnie specyalna delegacya wiecowa wręczyła przedstawicielowi Rządu, miejscowemu staroście p. Kazimierzowi Kuhnowi, celem zakomunikowania ich, gdzie należy.

Lud Częstochowy i okolicy zamanifestował w ten sposób swe zapatrywanie na sprawę Wilna.



Wiec w sprawie wileńskiej w Częstochowie: Uczestnicy masowego wiecu u stóp Jasnej Góry.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA ZTOCZYSKA

I.

Robert i Ranieri stali zdenerwowani, podrażnieni przeszkodami, które co chwila zjawiały się na ich drodze, utrudniając pościg. Dwa razy viktorya Heliany zatrzymać się musiała przed nadjeżdżającym tramwajem, raz znowu wózek z kwiatami, pchany przez dwóch chłopców, zastąpił mu przejście. Przypadek zdawał się faworyzować uciekających.

— Nie dogonimy ich! — jęknął głucho Lambertini. — Oni uchodzą przed nami!

— Nie mogą, nie powinni ujść! — zawołał z wściekłością Robert Alimena.

— Luigi! prędzej! prędzej! — przynaglała niecierpliwie Heliana.

Sztangret zaciął silnie konie. Konie ruszyły cwałem, bijąc bruk kopytami. Przestrzeń pomiędzy powozami zmniejszać się zaczynała. Robert mógł już doskonale obserwować kobietę w białym płaszczu. Nie odwracała się już jednakże, jakgdyby ulegając rozkazowi swojego towarzysza.

Obydwa powozy znajdowały się już przy wylocie ulicy Ferumi. Zdawało się przez chwilę, że pierwszy powóz zwolnił trochę biegu, wahając się, jaką wybrać drogę, potem z dwojoną szybkością popędził ku dworcowi.

Viktoria Heliany pospieszyła za nim. Był to prawdziwy wyścig, cichy, skoncentrowany, milczący. Nieznajomi nie zatrzymali się na dworcu; powóz ich skręcił w sieć nowych ulic, utworzonych po prawej stronie i sunął dalej ku ulicy 20 go Września.

— Gdzież oni podążają? — zapytała niespokojnie Heliana, którą ta gonitwa podnieciła gorączkowo.

— Kto to wiedzieć może? Musimy dalej jechać za nimi — odparł Robert Alimena.

— Tak, musimy jechać dalej — powtórzył energicznie Lambertini.

Szeroka ulica 20-go Września rozciągała się prosto przed nimi. W tej chwili była zupełnie pustą i doskonałym była terenem do dalszego pościgu. Jednakże znowu powóz uciekających wysunął się naprzód. Widocznem było, że pragną za wszelką cenę uchronić się przed pogonią. W szalonym pędzie powóz minął Porta Pie i z głuchym łoskotem zagłębił się w ciemną już ulicę Nomentana.

Robert i Ranieri spojrzeli na siebie z osłupieniem.

— Co to jest? Oni jadą na wieś!... wyjeżdżają z miasta! — zawołała He'iana. — Awantura zaczyna przybierać większe rozmiary. Co robimy Robercie?

— Jedziemy za nimi!

— Czy jesteś uzbrojony? — zapytał Ranieri szeptem przyjaciela.

— Tak... brzmiała krótka, zimna odpowiedź.

— Ja również — odszepnął jeszcze Ranieri, ale obecność Heliany może być dla nas przeszkodą.

Robert wzruszył ramionami zrezygnowany, gotowy na wszystko.

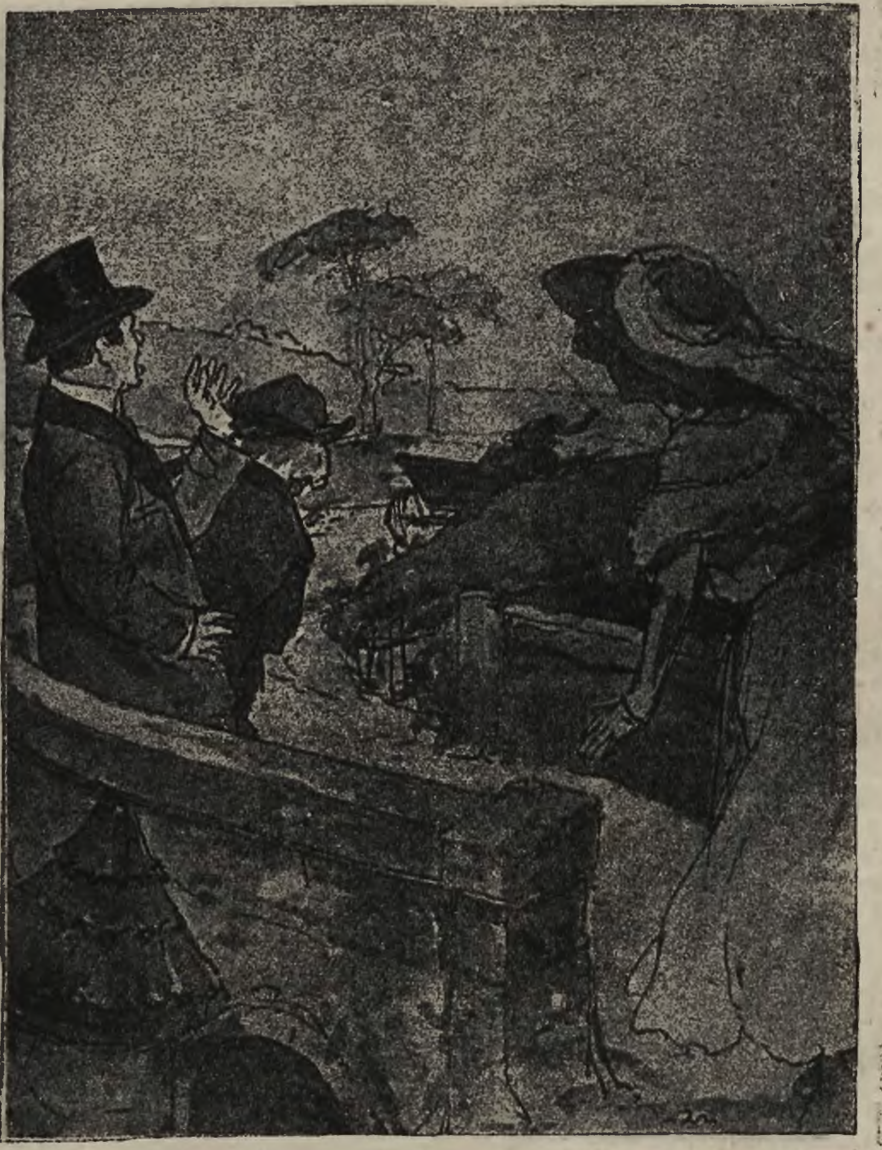
Teraz już pościg miał w sobie coś fantastycznego.

Nie była to właściwa ulica, ale szeroka droga, po bokach której wznosiły się gdzieniegdzie wille, ciemne i niezamieszkałe w tej porze roku. Pozatem żadnych śladów istnień ludzkich i zabudowań.

Droga była zaledwie miejscami oświetlona nikłemi, niedużemi latarniami. Po obu jej stronach roztaczały się pola rzymskie, obszerne, ciemne i opustoszałe! Powietrze było chłodne i wietrzne. Heliana drżąc całem ciałem, owinęła się w swój płaszcz. Przy słabych blaskach latarni, rzucającej w przelocie chwiejne, nikłe światło, twarze wszystkich dziwne były blade i zmienione. Robert i Ranieri pewni byli, że mają tam przed sobą w tym pędzącym powozie najniebezpieczniejszego swojego wroga, jakąś istotę szkodliwą i tajemniczą. Podniecenie ich wzmagało się z każdą sekundą. Dla Roberta pościg ten był walką o śmierć i życie! Świadomość, że obok człowieka w czarnej masce znajduje się kobieta, której spojrzenie takie na nim wywarło wrażenie, przyspieszało obieg jego krwi w rozpalonych jego skroniach.

Heliana Love również poddawała się nastrojowi, tembardziej, że jak wszystkie kobiety artystki, wyobraźnię miała bujną i żywą. Ta noc, ciemność, ten pościg wśród rozległych, pustych pól rzymskich, wystarczyło, aby tę jej wyobraźnię rozpalać teraz do najwyższego stopnia, chociaż sama osobiście, w zawiązujący się ten dramat udziału nie brała.

Zdawało się, że powóz przeciwników uniesiony został nagle przez niewidzialne skrzydła. Widzieć go już nie mogli, tylko głuchy, stłumiony tentent dobiegał ich czasem, przyniesiony podmuchem wiatru.



Wściekły okrzyk wyrwał się z piersi młodych ludzi. Powóz był pusty...

— Wygląda to na zasadzkę — szepnął Ranieri do ucha Roberta. — Nigdy nie zdołamy dopędzić ich. Tamte konie pędzą jak szalone!

— A więc powrócimy. Nie wolno nam Heliany narażać na niebezpieczeństwo — odparł Robert zniechęcony i zaniepokojony.

— Tak. Musimy się na razie uznać za zwyciężonych — westchnął ciężko Ranieri.

Tymczasem powozy pędziły dalej. Przy blysku latarni, świecącej w dali, Robert ujrzał niespodzianie, że powóz, wiozący kobietę w bieli, przebiegł w galopie mostek nad małą rzeczką Avienne i znikł nagle bez najmniejszego szelestu.

— Luigi, zatrzymaj konie zanim dojedziemy do mostu! — rozkazała Heliana, poinformowana przez Roberta o zniknięciu powozu.

— Musiał wpaść do rzeki — zaśmiał się nerwowo Ranieri.

Nie było ani domu, ani drzewa, na pustych polach, ani przy rzeczce. Heliana z towarzyszami stanęła na moście i wszyscy w milczeniu spojrzeli na siebie.

Gdzie zniknął powóz? Co się z nim stało? Gdzie go szukać teraz?

Stali tak chwilę oszołomieni, nie wiedząc co czynić dalej, kiedy rozległ się tentent i powóz wylonił się nagle z ciemności i w szalonym galopie przejechał obok nich z powrotem, w kierunku Rzymu.

Wściekły okrzyk wyrwał się z piersi młodych ludzi. Powóz był pusty...

— — — — — — — — — — — — — —

Głęboka cisza zaległa w małym domku Mojżesza Kabiba, przy uliczce Pianto. Tak, jak zazwyczaj, stary handlarz powrócił do domu o dziewiątej godzinie i spożył wieczerzę w milczeniu w towarzystwie Racheli i swojego pomocnika.

Rachela tego wieczora nie wyrzekła ani słowa, pogrążona jak i ojciec w głębokich rozmyślaniach.

Od kilku dni zauważyć było można, że stary Mojżesz jest czemś niezwykle zajęty i zaniepokojony.

Parę razy niespodzianie powrócił do domu, spoglądając wokoło badawczo i przenikliwie, wypatrując, szpiegując, jakgdyby lękał się zastać w domu ukrytego nieprzyjaciela. Ale za każdym razem zastawał Rachelę zajętą wykonaniem jakiegoś misternego haftu, lub czytającą jedną z nienawidzonych przez niego książek chrześcijańskich. Raz tylko, kiedy wszedł po cichu i ujrzał jak pisała, ale zanim doskoczył by pochwycić ćwiartkę papieru, Rachela zręcznie, dumnym, wyzywającym ruchem podarła ją w drobne kawałki.

Stary zamruczał jakieś groźby na Ranieri Lambertinego, lecz wyszedł, nie śmiejąc córce uczynić uwagi.

Mojżesz Kabib wracał zawsze wieczorem ponury i przybity. Rachela przyzwyczajona do długich godzin milczenia, nie zadawała mu żadnych pytań, nie starała się przeniknąć przyczyny jego smutku.

Czuła tylko, że coś bardzo poważnego dojrzewa pomiędzy nią a ojcem. I rzeczywiście cichy dramat, rozwijający się w małym domku na ulicy Pianto, biegł szybkim tempem ku katastrofie.

Ostatnie wahania Racheli, obawy jej tajemnic i niepokoje, zaczęły się pomału rozwiewać. Zdecydowana już była teraz na wszystko.

Tego wieczoru, zdawało się Racheli, że dostrzega na twarzy ojca żywszy niż kiedykolwiek wyraz bólu i równocześnie i gniewu, uczucie lęku jakiegoś i smutku.

Kiedy pomocnik odszedł, pozostała jeszcze czas jakiś w milczeniu, z rękami bezczynnie założonemi na kolanach, jakgdyby czekając na odezwanie się ojca.

Roża w ciemnym pokoju robi'a szkarpetki i słychać było tylko dźwięk drutów, uderzających o siebie.

Mojżesz Kabib skończył palić fajkę. Wówczas Rachela powstała, mówiąc:

— Dobrej nocy, ojcze.

— Dobrej nocy. Ale ty nie chodź jeszcze spać, Rachelo.

— Dlaczego?

— Bo powinienem ci może coś powiedzieć — odpowiedział, nie podnosząc oczu.

— Ty, ojcze?

— Tak, ja.

— A dlaczego nie mówisz mi tego zaraz?

— Później, później może...

— To dobrze — wyrzekła zimno, odwracając się do niego plecami.

Po odejściu córki, stary Mojżesz odesłał służącą, zapowiadając jej, żeby nie niepokoiła się żadnymi szmerami, które do niej dobiedz mogą.

Roża wzruszyła ramionami i oddaliła się.

Nie położyła się jednak, bo wszystkie domowe tajemnice i zwyczaje wyczuwała, że coś nadzwyczajnego przygotowuje się w domu.

Rachela również znalazłszy się w swoim pokoju, nie zamierzała udać się na spoczynek.

(Ciąg dalszy nastąpi)

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

22

I.

— Pani już parę razy pytała się o pana — oznajmił stary, wnosząc po chwili na tacy kawę i bułki z masłem. — Mówiłem, że pan wrócił późno i śpi jeszcze zmęczony podróżą. Coś tam się dobrego stać musiało, bo od wczoraj pani i starsza panienka aż oszaleć chcą z radości.

— Dobrego? — mruknął Gawlik z powątpiewaniem, bo nie mógł się jeszcze w żaden sposób pogodzić z odniesioną wczoraj porażką.

— A jakże, proszę pana — prawił Franciszek, składając porozrzucane wszędzie ubranie. — Hrabia Gucio był u nas wczoraj na kolacyi. Zdaje mi się, że się tam coś święci między nim a panienką.

Zachmurzona twarz Gawlika zmieniła wyraz w jednej chwili.

— Czyżby się już oświadczył? — pomyślał z zadowoleniem. — Co tam jeden spudłowany interes wobec tego, że będę mieć zięcia hrabiego. — Niech Franciszek poprosi tu pani — zwrócił się do służącego.

Za chwilę Gawlikowa rozpromieniona, z rozwianymi włosami, w poplamionym szlafroku wpadła do pokoju i rozczulona rzuciła się mężowi na szyję, wołając uradowanym głosem:

— Stało się już! stało! Hrabia Gucio oświadczył się wczoraj oficyalnie Kazi! Dziś tu ma być rozmówić się z tobą! Moja córka będzie hrabiną! Słyszysz stary, hrabiną będzie! Ah! o takiem szczęściu marzyłam całe życie!... Kazia formalnie szaleje! Tak się ucieszyło biedactwo, że całą noc spać nie mogła!

Gawlik spoważniał. Cała ważność sytuacyi zajaśniała teraz przed nim w całej pełni.

Hrabia Gucio od dnia pierwszego przyjęcia coraz częściej zaczął bywać u Gawlików i Gawlikowie w skrytości śnić już zaczęli różowe nadzieje, ale nie przypuszczali, żeby ich marzenia mogły się urzeczywistnić tak prędko.

Wydanie za mąż Kazi było zawsze dla nich troską najwyższą. Co prawda, hrabia Gucio nie posiadał żadnego osobistego majątku, może nawet trochę długów kawalerskich, ale cóż to znaczyło wobec tej rozkosznej perspektywy, że Kazia hrabiną zostanie i wejdzie w sferę, o której nawet marzyć nie śmieli.

Gawlikówna hrabiną, żoną znanego arystokraty, skoligacona z najpierwszymi domami w Polsce! Było od czego dostać zawrotu głowy! Wszystko układało się w jak najpiękniejszej formie. Że tam hrabia zaglądał za często do kieliszka, to co z tego! wszyscy wielcy panowie podlegają rozmaitym kaprysom. A że i posag dostatni przygotować trzeba będzie, to także drobnostka! Na to Gawlik przygotowany był! Nie wyda przecież córki z domu, jak pierwszy lepszy rzemieślnik czy robociarz, w jednej sukience za pożyczane pieniądze. Stać go dzięki Bogu na hojne wyposażenie córki i bogatą wyprawę, żeby się nie potrzebowała wstydzić tych dam z wielkiego świata, pośród których teraz obracać się będzie.

Gawlik, zatopiony w tych rozkosznych myślach, zapomniał zupełnie o poniesionej stracie, która teraz zaczęła się mu zdawać nic nie znaczącą drobnostką.

Uściskał serdecznie żonę i na jego zmęczonej twarz wystąpił uśmiech pełen dumy i godności.

— Już teraz dochodzimy do celu naszego — westchnął z zadowoleniem. — Już nas teraz nikt nie strąci z tych szczytów, na które wznieśliśmy się własnym sprytem. Ot! co znaczy chcieć! Zachciało się nam majątku, mamy go, zachciało się nam zięcia z tytułem, będziemy go mieć! Czego żądać więcej! Przyszlij mi tu przyszłą panią hrabinę, niech ją uściskam. Przez nią to na nasz dom taki splendor spada.

— Czy ty pomyślałeś już o posagu dla niej? — zatroszczyła się Gawlikowa. — Musimy się teraz godnie pokazać przed tamtymi.

— Nie bój się! — wymówił z pewnością siebie Gawlik. — Kilka kroć już tam leży złożonych w banku, a pieniądze dopływają ciągle jeszcze.

Weszła Kazia zmieniona, przeistoczona zupełnie. Już od rana zaprawiała się gorliwie do swojej nowej roli. Siliła się na powłóczyste, majestatyczne ruchy, mówiła szeptem, ledwie otwierając usta, dobierając wykwintnie brzmiących wyrazów, przymrużając lekko oczy z wyrazem wyniosłego znudzenia i obojętności.

— Bon jour cher papa — wycedziła, całując ojca w czoło. — Mama ci już mówiła... Ah! nie całuj tak mocno, bo mi zburzysz fryzurę. Lękam się, czy migreny dziś nie dostanę, a chcę ładnie wyglądać na przyjęcie narzeczonego. Będzie w domu około godziny piątej. Hrabia przyjść ma i oficyalnie się z tobą rozmówić. No kontent jesteś z córeczki, ładnie się spisała?



Hrabia Gucio od dnia pierwszego przyjęcia coraz częściej zaczął bywać u Gawlików.

— Bardzo, bardzo — szeptał rozczulony Gawlik, wpatrując się w córkę z podziwem. — Ładna będzie z ciebie hrabina. Tamte zazdrościć ci będą urody i młodości.

— Ale ta uroda stosownej oprawy potrzebuje tatku — przymilała się Kazia wobec kwestyi materyalnej, zapominając o fryzurze i początkach migreny. — Ja zrobiłem swoje i nie powstydzicie się za mnie, ale ty tatku, co mi dasz za to, że daję ci takiego zięcia — co?

— Nie bój się kochanko, nie bój się — powtórzył z dumą Gawlik, głaszcząc lekko jej wypieszczoną rękę. — Już ojciec wie, czego ci teraz potrzeba będzie. Pani hrabina dostać musi to, czego tylko zapragnie. A cóż Stasia? Cieszy się? Przyzwyczaja się już do położenia? Musisz teraz Kaziu większą na nią zwracać uwagę. Okropny dzikus się z niej zrobił. Ani ją do gości wyciągnąć można, ani do teatru, ani na koncert z nami iść nie chce. Tak nie może być. Stary Markiewicz już kilka razy pytał się o nią. Może myśli o synie?

— Phi! — skrzywiła się Kazia — Markiewicze!

— Co chcesz! — zaśmiał się Gawlik. — Drugiego hrabiego tak prędko nie dostaniemy. Młody Markiewicz jest adwokatem, kancelarya jego doskonale się rozwija. Dom bogaty, znany w mieście. Markiewicz kupuje teraz trzecią kamienicę.

— Ze Stasią to będzie trudna sprawa — oświadczyła po chwili zastanowienia Kazia. — Ona ma zupełnie w głowie przewrócone. Tęskni do sielanki i chatki w lesie. Od ludzi stroni. Nie mogłyśmy ją z mamą namówić, żeby się pokazała wiedy, kiedy po raz pierwszy wydawaliśmy kolacyę. W książkach tylko siedzi i do gwiazd tylko wzdycha — zaśmiała się pogardliwie.

— Młoda jest jeszcze. Liczę na ciebie Kaziu, że ją przerobisz. Od ciebie wiele się nauczyć może. Ty, to wolisz gwiazdy brylantowe, prawda?

— Pewnie — zachichotała wcale nie wytwornie Kazia.

— No, a teraz kochanko zabieraj się stąd — rzekł Gawlik żartobliwie. — Muszę się ubierać i iść dorobić ci coś jeszcze do posagu twojego. Im więcej, tem lepiej.

VII.

Stasia przechodziła ciężkie chwile. Od dnia zaręczyn Kazi z hrabią Guciem, bardzo hucznie obchodzonych, a które nastąpiły w dwa tygodnie po jego zdeklarowaniu się, matka, podniecona tą udaną próbą, zaczęła gorąco interesować się jej przyszłością. Każdy krok Stasi był teraz kontrolowany.

Do gości wychodzić musiała w eleganckiej, od pierwszorzędnego krawca sukni, towarzyszyć Kazi i jej narzeczonemu na koncerty i zabawy i często wieczory całe spędzać z nimi w kawiarni, słuchając czczej paplaniny siostry i nie wymyślnych dowcipów przyszłego szwagra.

Już nie mogła, jak dawniej, liczyć na pomoc ojca, bo Gawlik właściwie gościem był tylko w domu, a jeżeli kiedy zdarzyło się, że był świadkiem jakiej przykrej sceny pomiędzy nią a matką, nie zważając na jej błagalne spojrzenia, wychodził spiesznie z pokoju, rzucając zniecierpliwionym głosem:

— Moja kochana, proszę cię, bądź posłuszną matce. Już ona najlepiej wie, co wam jest potrzebne. Masz przykład na Kazi.

W tym czasie obaj Markiewicze, ojciec i syn, coraz częściej odwiedzać zaczęli dom Gawlików. Staremu Markiewiczowi imponowała wiadomość, że hrabia Gucio żeni się z Kazią.

— Wiesz ty co? — mówił do syna. — Tam musza być ładne pieniądze, skoro ten hrabia się zdecydował. Taki człowiek by się nie żenił z Gawlikówną dla jej pięknych oczu. Zresztą rodzina jego nie zgodziłaby się na taki mezalians, bez ważniejszej przyczyny. Ja, co do mnie, wolałbym nawet tą małą Stasię. Ciche to i potulne, od męża rachunków z użycia posagu żądać nie będzie.

Młody Markiewicz, dla którego pieniądz był największą wartością życia, nie opierał się wcale.

Zajęty swoją kancelaryą, w której działy się rzeczy niekoniecznie nadawające się do wypłynięcia na światło dzienne, nie chciał wiele czasu tracić na nadskakiwanie przyszłej swojej żonie, uważając, że małżeństwo, to interes, tak samo dobry jak wiele innych.

Przyspieszał więc tak całą sprawę, że w kilka tygodni po zaręczynach hrabiego Gucia z Kazią, rozmówił się z Gawlikiem i oczywiście chętnie przyjęty został.

Na Stasię wiadomość ta spadła jak grom z jasnego nieba. Wiedziała o zamiarach rodziców, o usilnem pragnieniu wydan a jej za mąż jak najwcześniej, ale do ostatniej chwili łudziła się, że zajdzie coś takiego, co uwolni ją od przymusowego połączenia się z człowiekiem, którego ani szanować, ani kochać nie mogła. Nie przypuszczała zresztą, że wyrok na nią zapadnie tak szybko. Bo o tem, aby na razie opierać się woli rodziców, mowy nawet nie było. Nikt jej nie pytał o zdanie, nie czekał na jakikolwiek objaw przyzwolenia i zgody.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staręzowskiej.

TOM I.

27

Czuła w nim okrucieństwo, ono ją pociągało, odpowiadało czemuś w jej naturze, co rozumiało, poważało okrucieństwo, i co tajemnie pogardzało dobrocią. W swojej miłości byłby okrutnym. Nigdy nie znalazłszy się u stóp kobiety. Jego oczy jej to powiedziały, powiedziały zuchwale.

Złocona kulka w fontannie! Niewolnica okryta klejnotami w haremie! Wyciągnęła ramię wzdłuż poduszek, wyciągnęła członki wzdłuż otomany — swe długie członki, jeszcze zawsze elastyczne i pełne wdzięku.

Wiele lat dawał jej Barondi?

Arabowie nigdy nie znają swego wieku. Pewien żołnierz, którego znała, mówił jej kiedyś o tem — mówił, że sześćdziesięcioletni arabowie utrzymują, że mają dwadzieścia pięć, nie skutkiem próżności, lecz po prostu, nie rachują swych lat. Barondi, prawdopodobnie, nigdy nie pomyśli o niej, jak Anglicy myślą, nie będzie dbał, w jakim jest wieku. Nie widziała pod tym względem krytyki w jego oczach. Prawdopodobnie myślał, że jest bardzo młodą, jeśli wogóle myślał o jej wieku. Ale, najpewniej, nie zajmował się tem wcale.

Była we wschodnim domu Barondi'ego.

Kiedy z Niglem opuściła Londyn, jadąc do Egiptu, wyobrażała sobie, że nadejdzie dzień, w którym, jeżeli nie będzie panowała w Londynie, w tym „Londynie", który kiedyś uwielbiał jej piękność, to przynajmniej podepcze go, jako Lady Harwich. Przejęła się tem pragnieniem, tem marzeniem. Wszystkie jej myśli miały związek z Londynem, z tamtejszymi ludźmi. Któregoś dnia, Lord Harwich umrze, lub się zabije. Zoe Harwich stanie się tylko „Zoe conntess of Harwich", a ona, dawniej słynna Mrs. Chepstow, będzie panią na Harwich House, Park Lane na Illington-Park, pod Ascot; na Goldney Chase, w Dertyshire, na Thirsion Castle w Szkocyi, nie mówiąc już o niezliczonych myśliwskich pawilonach, o domach w Brighton i Newmerket. Towarzystwo mogłoby jej nie przyjmować, lecz musiałoby jej zazdrościć. A może — w końcu — czyż wszystko nie jest możliwe w tegoczesnem towarzystwie? — może w końcu narzuci siebie i będzie przyjętą z powodu swej wielkiej pozycyi. Czuła, że jej mądrość i silna wola mogą to urzeczywistnić.

List Harwicha zniszczył te marzenia, i teraz, kiedy minęło pierwsze wrażenie, lecz nie gniew i palące uczucie doznanego zawodu, zaszła charakterystyczna zmiana w jej widokach odbudowania przyszłości.

Planowała jedną rzecz: uczyniła wielki krok dla jej urzeczywistnienia i wkrótce spotkała ją katastrofa. Obecnie — myśli jej zaczęły się odwracać od Londynu, skonały, wraz z londyńskiemi nadziejami. „To wszystko jest bezużyteczne teraz". Oto, co sobie mówiła z goryczą, lecz stanowczo. Nauczona doświadczeniem pełnego przygód życia, Mrs. Armine przyjęła jedną zasadę — zasadę swych strat. Jak zapomni tę stratę?

Była we wschodnim domu Barondi'ego.

Przed kilku godzinami patrzała na Egipt i rzeczy egipskie tak prawie, jak podróżny spogląda na kraj, przez który przejeżdża, na kraj, który na chwilę przedstawia się jego oczom, lecz z którego mieszkańcami nie będzie miał nigdy do czynienia i nigdy nie będzie żył jego życiem. Miała pozostać czas jakiś w Egipcie, lecz wszystkie jej pragnienia, zamiary, nadzieje, były w Londynie. Tam jej przyszłość miała się rozwinąć, tam i w kraju, którego bijącem sercem jest Londyn.

Teraz, jeżeli miała gdzieś ześrodkować swe pragnienia, swe nadzieje i cele, będzie musiała to uczynić gdzieindzie. Musi je skoncentrować na Niglu, na Fayum, na produkcyi zboża tam, gdzie dawniej panował piasek, albo, musi je ześrodkować.

Wdychała ciężkie perfumy, gładziła swymi długimi palcami jedwabne poduszki; wyciągnęła się na miękkiej otomanie, słuchała krystalicznego szumu fontanny.

Bywają rozmaitego rodzaju życia na świecie. Doznała wielu przygód, lecz jak wiele jeszcze pozostało nieznanych! Nie będzie się czuła podróżnym, przebiegającym kraj, którego nigdy nie pozna, lub nie będzie się starał poznać. Pociąg zwalniał biegu. Widziała kraj wyraźniej. Szczegóły stawały się widoczne, przywołując na siebie uwagę. Pociąg zaraz się zatrzyma, a ona z niego wysiądzie, spojrzy na nowe otoczenie, spojrzy na nowe życie.

Rozdęła nozdrza i wchłonęła silniej woń perfum, ręce jej prawie gwałtownie chwyciły poduszki i coś, co próbuje rozkazywać ze swego ukrycia, pobudziło jej wyobraźnię do najwyższego wysiłku — we wschodnim domu Barondi'ego.

— Ruby! Ruby!

Jedne z drzwi się odsunęły, weszło światło słoneczne, złagodzone markizą i zobaczyła tańczącą kulkę w fontannie i swego męża we drzwiach, spoglądającego pytająco.

— Co tu czynisz?

— Nic — odrzekła, siadając nagłym ruchem. Zaśmiał się.

— Myślałem, że uciełaś sobie drzemkę.

Wstała.

— Prawdę powiedziawszy, rzeczywiście spałam.

Podniosła ręce do kapelusza, do włosów i poprawiła fałdy swej sukni.

— Pozwól mi wyjść — rzekła.

Nigel się usunął i wyszła na balkon, gdzie Barondi, oparty o balustradę, patrzał na oświetlony słońcem Nil. Odwrócił się zwolna, żeby ją spotkać i bardzo spokojnie, ruchem, wyrachowanym silnego człowieka, przysunął jej słomiany fotel, ułożył grzecznie, lecz dość obojętnie poduszki, i kiedy usiadła, rzekł:

— Lubi pani serce mego wschodniego domu?

— W jaki sposób urządził pan fontannę? — spytała.

Rozpoczął dokładne, techniczne objaśnienia, lecz po kilku słowach przerwała mu.

— Proszę nie kończyć. Psuje mi pan całe wrażenie. Nie powinnam była się pytać.

— Barondi jest bardzo praktycznym człowiekiem — rzekł Nigel — chciałbym go mieć jako administratora w Fayum.

— Jeżeli będę mógł kiedy służyć moją radą, będzie mi bardzo przyjemnie — rzekł Barondi. — Wiem wszystko o rolnictwie w moim kraju.

Mrs. Armine przechyliła się w tył i spoglądała na szeroką rzekę, po której płynęły na południe tubylcze łodzie z rozpiętymi żaglami na kolumny wielkiej świątyni w Luksor, wznoszące się na wschodnim brzegu, na chmurę drzew palmowych nad wsią, na daleką przestrzeń wody, na nagie, strome wzgórza, które zamykają pustynię Libijską. Cały ten krajobraz obejmowała jakby nowemi oczami.

— Pomów o rolnictwie z moim mężem, Mahmond-Barondi — rzekła, zapomniejcie o mojej obecności.

— Ale.

— *Pas de compliments!* Pierwszy raz jestem na dehabijah. Wasz Nil mnie rozmarza. Gdyby jeszcze żeglarze śpiewali!

— Będą śpiewali.

Postąpił kilka kroków, spojrzał na wierzchni pokład i wykrzyknął kilka gardlanych wyrazów. Prawie natychmiast dało się słyszeć uderzenie w darabukkeh, i nosowy głos zawołał: — Al-lah!

— A teraz rozmawiajcie o rolnictwie.

Barondi zwrócił się do Nigla i zaczął z nim rozmawiać półgłosem, podczas gdy Mrs. Armine siedziała cicho, ciągle wpatrując się w Nil, i nie przestając słuchać śpiewających żeglarzy. Wkrótce przyniesiono herbatę, lecz i wtedy zatrzymała swój uśmiechnięty, łagodny, lecz kompletnie oderwany wyraz.

— Rozmawiajcie dalej — rzekła — nie wiecie jaka jestem szczęśliwa!

Spojrzała na męża i dodała:

— Piję wodę z Nilu.

Na jego twarzy odbiła się radość, która podnieciła ironię w głębi jej natury. Nic jej nie odrzekł, lecz zaraz rozpoczął rozmowę z Barondi'm, energicznie, żywiej, z zapałem, do którego go pobudziła, w części ze złośliwości, w części zaś, żeby uzyskać dłuższą chwilę spokoju. Gdyż powiedziała prawdę. Piła wodę Nilu tego dnia, i pragnęła pić więcej.

Rzeka była jak sen, myślała. Wielkie łodzie z łacińskiemi żaglami i gromadkami poważnych, milczących, brunatnych ludzi, przesuwały się cicho, jak okręty widziane we śnie. O boki Lonlii odbijała się woda Nilu, z łagodnym szmerem, szepcąc do niej. Z bliskiego brzegu ognisty, prawie tragiczny śpiew pracujących fellahów łączył się z nosowym głośnym śpiewem nubijskich żeglarzy. Jak wiele jest rodzajów życia na świecie!

Cios, który spadł na Mrs. Armine, uczynił ją niezwykle myślącą, zapatrzoną wewnątrz siebie, niezwykle wrażliwą na zewnętrzne wpływy, zostawił ją wibrującą jak instrument muzyczny, uderzony silnie niemiłosierną ręką. Burza gniewu, która nią wstrząsnęła, pobudziła ją do niepohamowanego, potężnego życia, podniosła ukrytą energię charakteru, woli, pragnienia, całą jej chciwość wydobycia co najlepszego w życiu, wyciśnięcia złotego soku z każdego mijającego roku. „Jutro pomrzemy". Ci, którzy wierzą w to tak, jak ona wierzyła, pragną użyć życia, tego dzisiejszego — w inny sposób, niż ci, którzy mają wiarę w życie przyszłe. A ona nigdy nie była tak zgłodniałą jak teraz. Czuła ten głód przez sen tak, jak ofiara silnego bólu, czuje go po użyciu morfiny.

Jeżeli nadzieja tryumfu w Anglii ją zawiodła, musi na jej miejscu mieć życie, któreby dogadzało jej usposobieniu, zaspokajało pragnienie materyalnych przyjemności jej chęci pogańskiego używania wszystkiego co daje zadowolenie w krótkim przeciągu ludzkiego żywota na tym świecie. Czy może mieć takie życie z Niglem? Nie zostanie nigdy Lordem Harwich. Nie będzie nigdy niczem innem jak Niglem Armine, człowiekiem średnio zamożnym, oddającym się rolnictwu w Egipcie z nisko wydzierżawionym majątkiem w Anglii i kawałkiem ziemi w Faymu. Nie będzie niczem więcej tylko tem — i jej mężem, człowiekiem, który ją w to „wpakował". W swojem wyliczeniu nie dodawała — i człowiekiem, który ją kochał.

Przez długą chwilę siedziała cicho i spokojnie z głową opartą o poduszki, słuchając śpiewających głosów, ustawicznego szmeru wody, patrząc na iskrzący się Nil i statki płynące na południe, i teraz poraz pierwszy obudziło się w niej pragnienie popłynięcia za nimi w złote Południe. Na miejsce tęsknoty do powrotu i panowania w Anglii, przyszło życzenie odsunięcia Anglii, wyrzucenia jej gniewnie z życia i skończenia z nią na zawsze. Ponieważ nie mogła tam panować, czuła, że nienawidzi Anglii.

— W lecie? Oh! ja zawsze spędzam lato w Anglii. Nigel rozmawiał wesoło. Zaczęła się przysłuchiwać jego rozmowie z Barondi'm, lecz nie ruszyła się wcląż, patrząc na Nil. Mówili ciągle o rolnictwie i z widocznym zapałem.

Nigel dawał szczegóły o swych usiłowaniach w Fayum. Teraz mówił o pługach. Temat wydawał się jej niezbyt obiecującym, lecz obaj wpadli w zapał, znajdując widocznie, że jest bardzo zajmującym. Barondi wyglądał nawet bardzo zainteresowany kwestyą pługów. Mrs. Armine zapomniała o Nilu. Pługi nie obchodziły ją wcale, lecz zajęła ją praktyczna strona Barondi'ego, która teraz zaczęła się jej ukazywać. Bardzo prędko poznała, że we wszystkich szczegółach, odnoszących się do uprawy i możliwych z niej zysków, był mistrzem. A Nigel rozmawiał z nim, słuchał go, jak uczeń słucha i rozmawia z nauczycielem. Chciwość w Mrs. Arminie była praktyczną, jak to już zauważył Meyer Isaacson, była zatem zdolną ocenić w całej pełni praktyczną wartość Barondi'ego. Czuła w nim człowieka, który dobrze wiedział, jak znachodzić źródła złota i tak jak romantyczność pociąga niektóre kobiety, tak ta zdolność do robienia złota pociągała przeważną stronę jej natury. Była olśniona tą zdolnością, a jeszcze więcej subtelnością, z jaką się objawiała. Zachęcał Nigla do pracy, do czynu, budził pewien męski wstyd obecnego bezczynnego życia. Lecz czynił to z widoczną, lecz złudną obojętnością; czynił to mówiąc o sobie, o swej energii, powodzeniu w sposób naturalny, mający związek z planami i pragnieniami Nigla.

Dlaczego to czynił? Czy chciał wysłać Nigla na czas zimowy do Fayum i wiedział, że tam Nigel chce dla niej coś przygotować? Zapytywała się, zastanawiała się głęboko, dla jakiej przyczyny Barondi podniecał zapał Nigla do pracy. Chwilami, zdawało się, że obaj mężczyźni zapomnieli o jej obecności, zapomnieli, że na świecie istnieje takie zjawisko, jak kobieta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Dzień 28. listopada b. r., to jest najbliższa niedziela, stanowi w życiu kronikarza „Nowości illustrowanych“ datę bardzo ważną. Obchodzi on w tym dniu, jak zresztą corocznie, swe imieniny i urodziny (równocześnie, ze względów oszczędnościowych...), w tym roku zaokrągla ba d o pięknie liczbę lat swego zasłużonego żywota. Który rok rozpoczyna, aż wstyd się przyznać, aby go nie posądzono, że jest już stary, gdy on natomiast czuje się jeszcze młodym, i nie stracił bynajmniej nadziei, że mógłby, naturalnie po najdłuższem życiu poczciwej Weroniki i wygraniu miliona na „premiówkę“, stanąć w rzędzie kandydatów do stanu małżeńskiego, aby młodszym od siebie dać piękny przykład ofiarnego spełniania obowiązków obywatelskich. W każdym razie Rubikon życiowy już dawno przekroczył i jest w wieku poważnym, ale nie niebezpiecznym.

Ujrzał światło naftowe (przyszedł bowiem na świat według zapewnień naocznych świadków, w porze wieczornej...) w drugiej połowie ubiegłego stulecia w samem centrum Krakowa, gdyż w śródmieściu, nic też dziwnego, że Kraków cały bierze w tym roku żywy udział w obchodzeniu tej rocznicy.

Program jej, już ustalony, przedstawia się wprawdzie skromnie, ale nad wyraz poważnie.

W dniu 28. listopada odtrąbi rano Weronika swą zwykłą pobudkę, że czas już wstawać, poczem, imieniem swojem i całej rodziny, wręczy mu wraz z życzeniami pantofle. Podarunek ten nie może być jednak uważany za aluzyę do jego domowej uległości, podyktowany jest natomiast przezornością, aby chodząc po pokoju w trzewikach, nie zarysował obcasami świeżo zapuszczonej podłogi.

Nastąpi uroczysty pochód do kościoła, stąd zaś na fiaki, o ile zezwolą na to fundusze, nie trzeba bowiem zapominać, że to koniec miesiąca, a fiaki, choć nie są „z aksamitem“, kosztują więcej, niż gdyby były w samej rzeczy z aksamitu sporządzone.

Gdyby nie to, że właśnie mamy niedzielę, więc dzień, w którym od wszelkiej pracy zawodowej wstrzymać się należy, skierowałby jubilat swe kroki do lokalu Redakcyi, aby tu odebrać życzenia wydawnictwa, kolegów i przyjaciół, punkt ten programu odłożono przecież na następną podobną rocznicę, za lat dziesięć, o ile naturalnie nie wypadnie znowu na niedzielę.

Wobec tego powróci pod dach rodzinny, zdejmie trzewiki a wdzieje pantofle, i spożyje w gronie najbliższej rodziny obiad familijny. Kuchnia polska, to jest *menu* ograniczone do minimum, toasty, o ile będą wygłoszone, to po amerykańsku, czyli przy czystej wodzie, co zresztą także połączone jest z pewnemi trudnościami, gdyż wodociąg o tej porze akurat nie funkcyonuje, zamieniając się natomiast w jakiś zepsuty fonograf, wydający ze siebie drażniące słuch ochrypłe tony, przypominające bardzo muzykę futurystyczną.

Celem uczczenia jubilata-solenizanta miał się odbyć popołudniu wielki festyn, ze względu przecież na nieodpowiednią porę, postanowiono go urządzić dopiero w późniejszym czasie, gdy już będzie założony i oddany do użytku publicznego Park ludowy na Panieńskich Skałach, co prawdopodobnie dojdzie do skutku jeszcze w ciągu bieżącego stulecia.

Popołudnie wypełni zatem drzemka, urozmaicona jubileuszowymi snami o złotej doli dziennikarskiej.

Wieczorem, o ile nie zajdzie jakaś nadzwyczajna przeszkoda, miasto będzie oświetlone, w teatrach zaś odbędą się przedstawienia.

Ze względu na niedzielę sklepy będą pozamykane, a urzędnicy wolni od służby, z powodu zaś Rocznicy Listopadowej miasto ozdobi się flagami, co, wszystko razem wziąwszy, złoży się na całość bardzo wdzięczną, stanowiącą dowód, jakiem uznaniem cieszy się kronikarz u ogółu społeczeństwa. Śmiało zatem rzec można, że w domowem święcie kronikarza weźmie żywy udział nie tylko Kraków, ale wogóle cała Polska i świat cały, o ile niedzielę uważa za dzień przeznaczony na próżniactwo.

I to cieszy kronikarza i dodaje mu otuchy i sił do dalszej pracy.

Nie ulega wątpliwości, że z tej okazyi nadejdą także liczne depesze gratulacyjne od osób wysoko i jeszcze wyżej postawionych, a gdyby przypadkiem nie nadeszły, to dowód, że ich nie wysłano, lub że zaginęły w drodze, bo i to się zdarza.

W czasach wojennych nie można sobie pozwalać na wybryki. W normalnych warunkach, jeszcze siedm lat wstecz, byłaby podobna familijna uroczystość połączona z pozbawieniem życia niewinnego stworzenia, tak słusznie dla swego niechlujstwa świnią nazwanego i sproszeniem na te gody przyjaciół i kolegów, w obecnych, może Weronika zdobędzie się, co najwyżej, na usmażenie kiszek i to po jednej na dwie osoby, aby budżetu domowego zbytnio nie obciążyć. A i taka biesiada, nazywana popularnie „tańczącą kiszką“, da niejednemu powód do powzięcia podejrzenia, czy też kronikarz nie wygrał przypadkiem miliona na premiówkę. Bo to i kiszki kupuje się dziś na wagę złota, je się je z apetytem, gdy się jest głodnym, co się jednak zjadło, tego nikt nie wie, a masarz mu nie powie, ci ludzie przestrzegają bowiem bardzo ściśle tajemnicy urzędowej.

O ile zatem nic nadzwyczajnego nie stanie na przeszkodzie powyższy program będzie w niedzielę w całości wykonany, co bynajmniej nie wyklucza, że P. T. Czytelnicy mogą nadsyłać i spóźnione życzenia, które mile będą widziane, a tem milej przyjęte, o ile będą poparte realnymi dowodami uznania i sympatyi dla osoby kronikarza i jego działalności. Dowody te mogą być w stanie stałym lub płynnym, z wyłączeniem lotnych (n. p. obietnic...), które łatwo podlegają nie tyle zepsuciu, ile zapomnieniu. Najbardziej pożądane są artykuły spożywcze, zwłaszcza, że święta Bożego Narodzenia są już za progiem, a w poprzednim roku pocieszaliśmy się nadzieją, że już tegoroczne będą weselsze, a jakoś się na to nie zanosi. Nawet rybek nie będziemy mieć na wieczór wigilijny, gdyż magistrat nie ma zamiaru zająć się ich sprowadzeniem, aby nie wchodzić w drogę interesom rybnych paskarzy, którzy twierdzą słusznie, że raz w roku mają żniwo, a i to im psuje magistrat przez swą konkurencyę.

O jedno jeszcze chciałby kronikarz prosić swych przyjaciół. Niechaj przypadkiem nie pragną uczcić jego zasług pomnikiem, a doszło do jego uszu, że ktoś wystąpić miał, czy dopiero ma, z podobnym projektem. Niech tymczasem dotychczasowe komitety pomnikowe wywiążą się ze swego zadania, a na świat przyjdzie nowe pokolenie „znawców“, nie tak wymagających, jak obecni. Każde miejsce na pomnik jest dla nich nieodpowiednie, chcieliby pozatem oglądać same arcydzieła, a za takie uważają jedynie swoje własne prace. Mają się zatem kłócić o wybór miejsca, potem o wartość artystyczną pomnika, a na razie „internować“ go na podwórzu koszar Straży ogniowej lub w składach „oczyszczenia miasta“ na Dajworze (gdzie tyle lat niewinnie przecierpiał Mickiewicz...), to nawet lepiej, że projekt nie wyjdzie ze sfery projektów.

Tyle dowodów sympatyi i uznania, jakie w dniu 28. listopada czekają kronikarza, zupełnie mu wystarczy, bez pomnika się obejdzie. Dowody te rad byłby zbierać przez rok cały, gdyż uważa go za swój rok jubileuszowy, a że święci jego początek, nie koniec, to tylko dlatego, iż najtrudniej jest coś zacząć. Zacznie szczęśliwie, to nie traci nadziei, że i dalszy ciąg jakoś pójdzie.

Przysłowia są filozofią narodów. Na to je jedni ludzie wymyślili, aby ich drudzy używali, zatem i kronikarz stosuje je bardzo chętnie, zwłaszcza, że łączą one nieraz rzeczy, na pozór nic ze sobą wspólnego nie mające.

Takiem przysłowiem jest w danym wypadku: „I doczekała się świeczka odpustu“, które tak dobrze można dostosować do owej uroczystości, o czem było wyżej, jak i do wielkiej ofenzywy, czekającej nas w styczniu.

Proszę się nie obawiać!... Nie grozi nam ani inwazya niemiecka, ani najazd Czechów z Klofaczem i Szuejderkiem na czele, ani hajdamacy i Petruszewicz, ni czerwone hordy Trockiego. Z tymi wrogami, gdyby do tego przyszło, dalibyśmy sobie radę, wobec grożącego jesteśmy bezbronni i musimy się mu poddać bez oporu, zwłaszcza, że ofenzywa ta jest usankcyonowaną ustawą.

Nie jest to zatem żadna operacya wojenna, ale w najściślejszem tego słowa znaczeniu pokojowa, rozchodzi się bowiem o podwyższenie czynszów za mieszkania z dniem 1 stycznia 1921.

„Doczekała się świeczka odpustu“... powiedzieli sobie nasi panowie kamienicznicy i odetchnęli z ulgą, dowiedziawszy się, że ustawa została przyjęta i wchodzi w życie.

Na pozór przedstawia się ona bardzo niewinnie, przewiduje bowiem podwyższenie czynszów w stosunku sto procent do r. 1914, korony równa z markami, ale kryje we wnętrzu miecz obosieczny, który się niejednemu z lokatorów da we znaki. Są to mianowicie opłaty, które ma się uiszczać dodatkowo za różnego rodzaju świadczenia ze strony właściciela. Postanowienie to jest zupełnie słuszne, ale powinno być ujęte w jakieś normy, które chroniłyby lokatorów przed zbytnią zachłannością gospodarza, mającego je wymierzać wedle swego własnego uznania. Znając zaś naszych panów kamieniczników, wiemy dobrze, że wielu z nich bardzo chętnie zrzekłoby się miesięcznych czynszów, byle pozostawić nam owe „opłaty za świadczenia“. I w tym właśnie kierunku nowa ustawa pozostawia wiele do życzenia, o ile się na nią zapatrujemy ze stanowiska lokatora, zadowala zaś właściciela realności, oddając podnajemców na jego łaskę i niełaskę.

Zmora, która przez lata wojny dusiła ich pod postacią „Ochrony lokatorów“, rozwiewa się we mgle, zapewne też okaże się zbytecznem założenie nowego, a dopiero projektowanego „Towarzystwa wzajemnej pomocy podupadłych kamieniczników“. Te „opłaty za dodatkowe świadczenia“ poratują ich i wydrą ze szponów nędzy, jaka ich w najbliższym czasie czekała.

Już teraz ratowali się owemi „dodatkowemi świadczeniami“, ale nie były one dotąd uświęcone ustawą, można je też było zwalczać, od stycznia nikt im nie da rady.

Aby się poinformować u źródła, urządził kronikarz wywiad z pewnym kamienicznikiem, który, na zapytanie, jak przyjął nową ustawę, odpowiedział:

— Mało, bo mało, ale dobrze, że bodaj tyle... I na to musiało się czekać sześć lat...

— Radca przez ten czas czynszu lokatorom nie podnosił?

— Dlaczegóżby nie!... Ale, ile się człowiek strachu najadł... Ta przeklęta „Ochrona lokatorów“ nie dała mi spać w nocy...

— I cóż radca dobrodziej uważa za owe „świadczenia“, za które się ma osobno dopłacać?

— Wszystko, prócz mieszkania. Za czynsz, masz cztery ściany mieszkania i nic więcej. Wodociąg, elektryka, śmieci, naprawki, stróż, administracya...

— Radca sam przecież administruje!...

— Tak!... Ale, gdybym chciał wziąć kogoś, musiałbym mu zapłacić i to musi być uwzględnione.

— A cóż z myszami, szczurami, karakonami, pluskwami?... — zapytał kronikarz z uśmiechem, na co otrzymał zgoła nieoczekiwaną odpowiedź:

— Oczywiście także podlegają opłacie za prawo polowania.

Ponieważ zaś *quot capita, tot sensus*, ze względu na niejasność ustawy w tym kierunku, każdy z gospodarzy będzie inne świadczenia uważał za dodatkowe i rozmaicie je oceniał, na każdą zaś uwagę będzie miał gotową odpowiedź:

— Ustawa, panie kochany, ustawa!... Ja postępuję ściśle według ustawy...

I może się znaleźć kamienicznik, który zażąda osobnej dopłaty za schodzenie po schodach, wychodząc z zapatrywania, że od tego można się uchronić, wynajmując mieszkanie na parterze. Drugi, którego córka kształci się od dwudziestu lat na śpiewaczkę operową, każe uiścić honoraryum za codzienne koncerty (choć lokator chętnie dałby nawet więcej, gdyby ich nie było...), inny za słuchanie zepsutego gramofonu i t. d., a lokator, kontent, że ma dach nad głową, nie poważy się oponować, wiedząc zresztą, że to nie zdałoby się na nic, gdyż za właścicielem jest ustawa, a paragrafy mają to do siebie, że można je obrócić do góry nogami i zawsze będzie paragraf.

Przygotowują się też kamienicznicy do jeneralnej ofenzywy na styczeń i odbywają w tym kierunku fachowe studya, aby nabrać jasnego poglądu, gdzie można wynaleźć jeszcze jakie „dodatkowe świadczenie“ i jak je ocenić.

Dotychczasowa „podwyższanie czynszu po raz pierwszy w tym roku“ ustąpi miejsca mnożeniu się „świadczeń dodatkowych“ i zamianie ich na gotówkę, najwyższy więc czas, aby się uchronić od przykrych skutków tej ofenzywy styczniowej, zaciągnąć się samemu w szeregi kamieniczników.

Niechaj jednak kto nie sądzi, że na tem stanowisku mógłby się zabawić w filantropa, zniżyć czynsze, sredukować „świadczenia dodatkowe“... Kto wlazł między wrony, musi krakać jak i one, w przeciwnym bowiem razie, jako działającego na szkodę swego cechu, gotowi takiego na własny koszt oddać do Zakładu dla nieuleczalnych i trzymać go tam aż do śmierci.

Bądźmy zatem przygotowani na huraganowy ogień „świadczeń dodatkowych“, który poprzedzi styczniową ofenzywę.

Ale przyznać trzeba, że... „doczekała się świeczka odpustu“...

Czekali kamienicznicy sześć lat na pomyślne wiatry i doczekali się ich nareszcie. Miejmy zatem nadzieję, że i my, choć do wybrańców losu nie należymy, doczekamy się też lepszych czasów. W tym roku zapewne już nie, gdyż tylko miesiąc jego panowania, ale bodaj w przyszłym, który o tyle będzie lepszy, że jest o jeden dzień krótszy. Jak on się zresztą zapowiada, może się każdy wcześniej przekonać w wigilię św. Andrzeja, urządzając sobie „lanie“, ale niech uważa, aby mu się przypadkiem nie ulała... figa, co mogłoby być uważane za zły prognostyk.

Zgon polskiego artysty malarza.

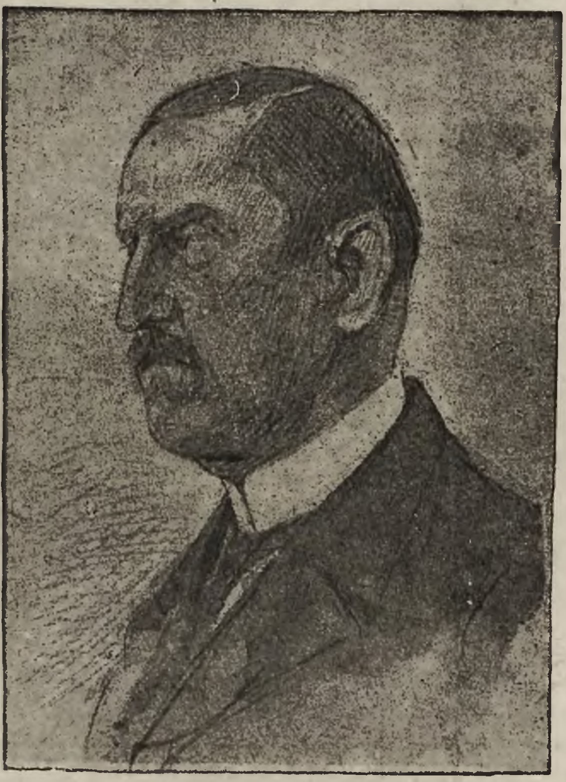
Dnia 14. listopada b. r. zmarł w Krakowie artysta malarz Józef Skarbek Kruszewski. Urodzony w Brukseli w r. 1856 jako syn jenerała wojsk polskich, Ignacego Kruszewskiego i Eufrozyny z hrabiów Moszczeńskich, kształcił się w krak. Szkole Sztuk pięknych pod dyrekcyą Łuszczkiewicza, wreszcie u prof. J. Portaelsa. Z śmiercią jego ubył sztuce polskiej znowu jeden z tych ostatnich starej generacyi artystów, których dzieła przez długie dziesiątki lat krzepiły dusze nasze. Razem z Fr. Kostrzewskim uprawiał z pomocą rysunku i akwareli humor i satyrę polską. Zdrowy śmiech wywoływały jego popularne serye „Wieczorów balowych“, „Parimbalów“, „Emigracyi do Ameryki“, „Sielanek“, „Wesel“, „Wyścigów“ „Jarmarków“ itp., owych ulubionych „Podmiejskich uroczystości familijnych“ z życia naszych „zuchów“ ze Zwierzyńca czy Zamarstynowa — ten cały światek czy półświatek, dla którego jasne brzegi Wisły były ulubioną plażą podczas letnich wywczasów. Humor Kruszewskiego posiadał jeszcze coś więcej, czego brak dzisiejszej satyrze polskiej, wzorowanej na Simplicissimusach, bo posiadał satyrę, która nigdy i nikogo nie obrażała, nigdy nie plugawiła i nie było wypadku, aby kto nabył akwarelę Kruszewskiego na to tylko, aby ją podrzeć.

Talent jego posługiwał się zdrowym i niewymuszonym humorem; ś. p. Kruszewski umiał się śmiać, więc śmiał się, a wraz z nim jego „ofiary“. Kochali go przeto za jego dobry śmiech. Może imię jego nie było tak głośne, jak Kostrzewskiego, któremu więcej pism umożliwiało popularyzowanie pracy nie ustępował jednakowoż w niczem swemu starszemu wiekiem koledze z „Tygodnika Illustrowanego“ i „Kolców“.

Należałoby sobie życzyć, aby się znalazł ktoś, kto chciałby się podjąć zebrania prac ś. p. Kruszewskiego i urządzenia z nich zbiorowej pośmiertnej wystawy, któraby była tem ciekawsza, że nowe pokolenie tych prac nie zna, a wiadomem było, że i za życia artysta unikał wystawiania swych dzieł. Może i polskiej krytyce artystycznej da się sposobność taką wystawą do zainteresowania fachowego tym szczerym artystą i podania społeczeństwu polskiemu bliższej oceny o nim, o jego życiu i twórczości.

Sp. Kruszewski był też artystycznym współpracownikiem „Nowości Illustrowanych“ w pierwszych latach ich istnienia. Dorobek jego artystyczny rozproszony jest po całej Polsce, akwarele jego znajdują się między innemi w galeryi Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu i w zbiorach Chojnowskiego w Warszawie. Na niwie humorystycznego rysownictwa stawiał pierwsze kroki w znanym przed laty w Krakowie „Ananasie“, zdobywając sobie wstępnym bojem ogólne uznanie czytelników.

Fr. T.



Zgon polskiego artysty malarza S. p. Józef Skarbek Kruszewski.

Z I. Korpusu Weteranów Wojsk polskich.

I. Korpus Weteranów, do niedawna jeszcze austryackich, obecnie już polskich, był w samej rzeczy pierwszym, który z pod rządów dwugłowego czarnego orła przeszedł pod służbę białego. Widocznym znakiem tej metamorfozy, o której donosiliśmy w jednym z poprzednich numerów, było uroczyste poświęcenie sztandaru, które się odbyło w dniu 7 listopada b. r. w kościele parafialnym w Podgórzu.

Korpus I., mający swą siedzibę w Podgórzu pod Krakowem, wyprzedził w tym kierunku wszystkie inne pokrewne instytucye, a zasługa to dzielnego Zarządu, głównie zaś prezesa Zura i jeneralnego sekretarza Fleischmana, oddanych całą duszą stowarzyszeniu, mającemu przed sobą bardzo szerokie pole działania, jako instytucya nawskróś humanitarna, zajmująca się losem byłych żołnierzy, nieraz bardzo potrzebujących jej pomocy i opieki. Szeregi Korpusu, do którego należeli dotąd wysłużeni żołnierze armii austryackiej, wzmocnią się obecnie weteranami polskimi, a Korpus I. stanie się niezawodnie ośrodkiem życia narodowego, łączącym schodzące już z widowni starsze pokolenie z młodszem, mającem kiedyś zająć jego miejsce. Instytucya humanitarna, na pozór skromna, ma przecież wszelkie dane, aby w życiu społecznem i narodowem odegrać ważną rolę.

W dzień 14 b. m. obchodził I. Korpus Weteranów Wojsk polskich uroczystość ślubowania członków na wierność sztandarowi. Z tego powodu odprawił w kościele parafialnym podgórskim solenną mszę św. kapelan. X. kanonik J. Niemczyński, poczem odczytał formułę ślubowania, którą obecni na nabożeństwie *in gremio* członkowie Korpusu powtórzyli, przysięgając wierność srebrnopióremu Ptakowi, gromadzącemu dziś pod swemi opiekończemi skrzydłami swe dzieci z pod trzech byłych zaborów ku wspólnej pracy na większą cześć i chwałę polskiego Imienia!

Polityczne odwiedziny w Warszawie.

Warszawa gościła w swych murach w pierwszych dniach bieżącego miesiąca jednego z najwybitniejszych współczesnych polityków światowych, rumuńskiego prezydenta ministrów, p. Take Jonescu.

W podróży swej po stolicach Europy przybył kierownik obecnej rumuńskiej polityki i nad Wisłę, aby się zetknąć osobiście z polskimi mężami stanu i omówić z nimi najżywotniejsze kwestye wspólnej polityki obu narodów, powołanych do odegrania bardzo ważnej roli w uporządkowaniu stosunków politycznych na wschodzie Europy.

Głównym powodem przybycia p. Take Jonescu do Polski była niezawodnie sprawa tak zwanej „małej ententy“. Jeżeli ma być ona w samej rzeczy wałem ochronnym przeciw Niemcom i Rosyi i stać na straży postanowień traktatu wersalskiego, bez udziału Polski poprostu nie da się pojąć, z drugiej jednak strony znalezienie się w niej naszego pań-



Z I Korpusu Weteranów Wojsk polskich Zarząd Korpusu, członkowie i zaproszeni goście, którzy wzięli udział w uroczystości ślubowania nowemu sztandarowi w d. 14 b. m.

stwa obok Czech, musiałoby się przyczynić do wewnętrznych tarć w jej łonie, osłabiających jej powagę i znaczenie na zewnątrz.

I z tego to właśnie powodu wprowadzenie w czyn tej bardzo racyonalnej zresztą koncepcyi, opóźnia się z dnia na dzień. Że ona ma racyę bytu i jest nawet niezbędną do utrzymania porządku na wschodzie Europy, oraz równowagi między jej wschodem a zachodem, o tem niema dwu zdań, rozchodzi się jedynie o to, kto ją ma tworzyć i ton jej nadawać.

O ile bowiem dotychczasowy projekt, z Czecho. słowacyą na pierwszem miejscu, zdaje się nie odpowiadać pokładanym w niej nadziejom, o tyle „mała ententa", złożona z Polski, Rumunii i Węgier, mogłaby mieć szanse powodzenia, choć i tu wchodzi w grę różnica zapatrywań rumuńskich i węgierskich.

Prócz spraw „małej ententy" przedmiotem konferencyi rumuńskiego premiera z kierownikiem naszej zagranicznej polityki, były zapewne i inne, będące następstwem sąsiedzkich stosunków i stanowisko wobec wspólnego wroga, jakim dla obu państw jest Rosya sowiecka.

P. Take Jonescu, zdeklarowany stronnik Koalicyi i, śmiało rzec można, jeden z twórców dzisiejszej Wielkiej Rumunii (która, nie wiele brakowało, a byłaby sięgła i po Galicyę Wschodnią...), uchodzi też za przyjaciela narodu polskiego i z uczucia-



Polityczne odwiedziny w Warszawie: Rumuński poseł przy rządzie polskim Florescu.

mi temi bynajmniej się nie kryje. W rzędzie współczesnych polityków światowych zajmuje on jedno z pierwszych miejsc, a Koalicya z jego zdaniem liczy się bardzo poważnie.

Do Warszawy przybył on wprost z Pragi, w towarzystwie swej małżonki, witany bardzo serdecznie przez przedstawicieli naszego rządu i ogół polskiego społeczeństwa.

Na dworcu kolejowym oczekiwał na przybycie gościa między innymi i minister spraw zagranicznych ks. Sapieha wraz z posłem polskim w Bukareszcie, Szrzyńskim. Rumuńscy goście zamieszkali w Zamku królewskim.

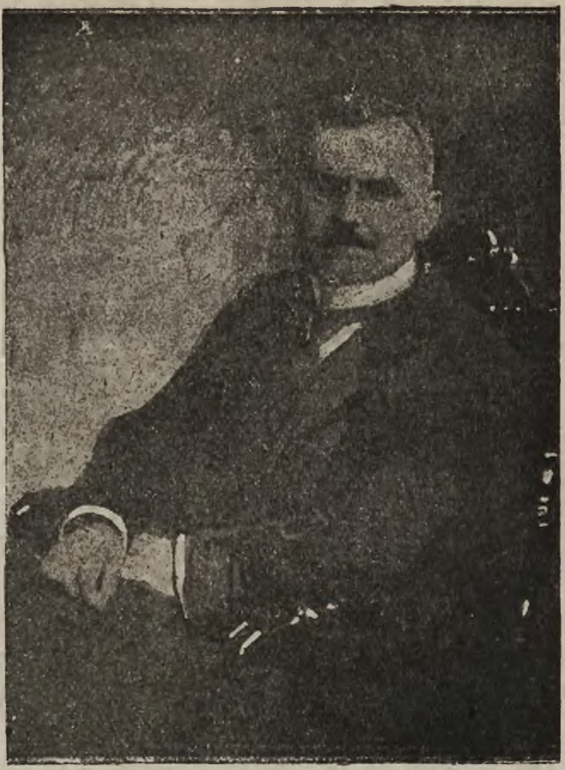
Nazajutrz wzięli państwo Take Jonesku udział w nabożeństwie, odprawionem w kościele garnizonowym na Placu Saskim, po którem pani prezydentowa złożyła wieniec na cmentarzu poległych żołnierzy. Resztę dnia wypełniło przyjęcie, wydane na cześć przybyłych przez posła Szrzyńskiego, audyencya w Belwederze i konferencye z przedstawicielami naszej polityki zagranicznej.

Z Warszawy miał się p. Take Jonesku udać w podróż powrotną do kraju drogą na Belgrad, brany także w rachubę przy tworzeniu „małej ententy".

Dymisya ministra skarbu.

Telegramy warszawskie doniosły, że dotychczasowy minister skarbu, Władysław Grabski, na życzenie swego stronnictwa podał się do dymisyi. Ostatnią urzędową czynnością ustępującego ma być jeszcze wypracowanie programu finansowego na dalszy okres czasu, w myśl życzenia prezydenta Witosa.

Działalność ustępującego ministra spotykała się zawsze z bezwzględną krytyką prasy lewicowej, która zarzucała mu dyletantyzm i przeprowadzanie eksperymentów, w teoryi może bardzo pięknych,



Dymisya ministra skarbu: Ustępujący minister skarbu i b. prezydent gabinetu, Władysław Grabski.

ale w praktyce nie mających zastosowania, dzięki którym zbagnił nasze finanse i doprowadził do czterdziesto miliardowego deficytu. Dymisyę jego w tych kołach powitano z radością, gdy natomiast prawica żegna go z żalem i nie szczędzi słów uznania. Z oceną bezstronną polityki finansowej ministra Grabskiego nie udało nam się nigdzie spotkać.

A przecież nie zdziałał on w ciągu swego urzędowania ani mniej ani więcej, tylko tyle, co i każdy inny, który znalazłby się był na jego miejscu. Szukał źródeł dochodu i musiał je znaleźć, a że mu to przychodziło z trudnością, zrozumieć łatwo, jeśli się zważy, że Polska jest państwem, budzącem się dopiero do życia, zjednoczonem tylko w teoryi i ekonomicznie zależnem od swych protektorów, kierujących się jedynie własnymi interesami, a do tego prowadzić musi kosztowną wojnę, pożerającą miliardy.

Praca w tych warunkach, zwłaszcza na stanowisku ministra skarbu, nie jest do pozazdroszczenia. Jego zadaniem jest szukanie źródeł dochodu,



Polityczne odwiedziny w Warszawie: Pani Take Jonescu żona rumuńskiego prezydenta ministrów.

a starania w tym kierunku spotykają się stale z bezwzględną krytyką społeczeństwa. A źródła te znaleźć się musi za każdą cenę, gdyż w przeciwnym razie stanie cała maszynerya państwowa.

Zarzuca się też ministrowi Grabskiemu, że popełnił szereg błędów politycznych, zgadzając się bez zastrzeżeń na warunki, postawione przez konferencyę w Spa.

Ale i w tym wypadku znalazł on się bez wyjścia. Wysłano go do Spa i kazano się starać o pomoc, a Lloyd George miał już gotowe warunki, które musiał przyjąć, aby nie wrócić z próżnemi rękami. Umowy, wówczas zawartej, Koalicya nie

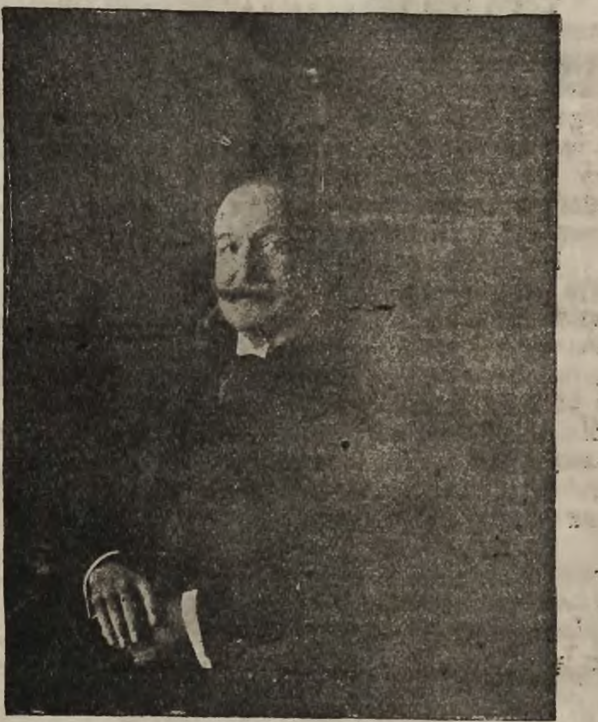
dotrzymała, zwalniając nas tem samem ze spełnienia ich z naszej strony.

Z tego punktu oceniając działalność ministra Grabskiego czy to jako prezydenta gabinetu, czy też na stanowisku ministra skarbu, stwierdzić się musi, że pracował w warunkach najniekorzystniejszych, po prostu pod przymusem, zostawiającym przed nim otwartą jedną tylko drogę, nie zawsze może odpowiadającą interesom polskim i że był zawsze ożywiony najlepszemi chęciami służenia krajowi.

Następcy jego, gdy Polska stanie na swych własnych nogach i nie będzie się musiała liczyć z wolą swych opiekunów, będą łatwiej mogli wywiązać się ze swego trudnego zadania.

Wyłazi niemieckie szydło z litewskiego worka...

Z podobnem wyrażeniem spotkaliśmy się niedawno w jednem z pism codziennych przy sposobności omawiania stanowiska, jakie oficyalna Anglia zajęła wobec postanowień konferencyi ryskiej. Stwierdzono wówczas, na podstawie głosów prasy oficyalnej, że Londynowi nie rozchodzi się bynajmniej o zasady sprawiedliwości przy rozstrzyganiu konfliktu polsko-rosyjskiego, lecz tylko o własny



Polityczne odwiedziny w Warszawie: Rumuński prezydent ministrów, Take Jonescu.

interes. Anglia uzyskała od rządu litewskiego prawo wyrębu lasów na cały szereg lat, a tymczasem część tych terytoryów przyznał traktat ryski Polsce. I stąd powód oburzenia angielskiego.

Obecnie wyłazi jednak z tego samego worka drugie szydło, tym razem niemieckie.

Stanowisko Niemiec wobec Polski jest aż nazbyt dobrze znane. Wiemy o tem, że Niemcy sprzymierzyliby się nawet z dyabłem, gdyby widzieli w tem swój interes i możność zaszkodzenia naszemu państwu, przeszkadzającemu w ich pochodzie na Wschód. Korzystają też z każdej sposobności, aby Polsce zaszkodzić i łączą się z każdym jej jawnym i skrytym nieprzyjacielem.

Tak było, gdy bolszewicy zdawali się już do chodzić do celu swych marzeń, zupełnie to samo powtarza się teraz z okazyi zatargu polsko litewskiego.

Anglicy i Niemcy starają się wszelkimi sposobami przeszkodzić ugodowemu załatwieniu sporu polsko litewskiego, popierając zupełnie otwarcie wrogie Polsce dążenia rządu kowieńskiego, który też, ufając w tak silną protekcyę materyalną i moralną, zajmuje wobec nas ciągle nieprzejednane stanowisko, nie zdając sobie z tego sprawy, że sam kręci bicz na siebie.

Nadzieja Niemców, że uda się im uzyskać bezpośredni kontakt z sowiecką Rosyą, zawiodła, kolej przyszła na Litwę, która miałaby być łącznikiem między Berlinem a Moskwą.

Tymczasem nadeszły jednak wypadki wileńskie. Stanowczy krok jenerała Żeligowskiego pokrzyżował znowu zamiary protektorów Litwy, dają też wyraz swemu niezadowoleniu w sposób bardzo widoczny. Anglia oświadcza, że na plebiscyt w Wileńszczyźnie się nie zgadza, Niemcy udzielają czynnej pomocy rządowi kowieńskiemu w walce z Litwą Środkową, której jednak i urzędy odmawiają



„Wylazł niemieckie szydło z litewskiego worka...": Żołnierze niemieccy wzięci do niewoli przez armię jenerała Żeligowskiego w czasie ostatnich utarczek z wojskami Litwy kowieńskiej.

uznania, obwiniając Warszawę o inicyatywę w tej sprawie i popieranie jen. Żeligowskiego.

Są zatem ziemie litewskie widownią starć między wojskami rządu kowieńskiego, a armią jen. Żeligowskiego. Ta ostatnia jest liczebnie słabsza, gdy natomiast pierwsza uzupełnia swe szeregi niedobitkami bolszewickimi i niemieckimi ochotnikami, których liczba dochodzi podobno do dwunastu tysięcy. Ponadto zaopatrują Niemcy Kowno we wszelki materyał wojenny. Między Niemcami a rządem kowieńskim toczą się rokowania o jawne udzielenie pomocy za cenę przyznania niemieckim żołnierzom prawa osiedlania się na litewskiej ziemi, co oddałoby kraj w jeszcze większą zależność od sąsiadów i zamieniło Litwę w niemiecką prowincyę.

Dowody popierania kowieńskiej Litwy przez Niemcy zebrał rząd Litwy środkowej podczas ostatnich utarczek, biorąc do niewoli całe oddziały niemieckie, zostające pod komendą niemieckich oficerów.

Rząd litewski jest zatem tylko narzędziem, którem wedle swych interesów kierują nasi... przyjaciele.

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki Nowości p. t.

„Józia — legionistką".

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie beletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, łodaj myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miłości z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru. Wydawnictwo „Biblioteka Nowości" ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się piękne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistką". Autorem tej noweli jest p. Adam Wzaryga-Miniewski, którego cykl powieści „Miłość i wojna", drukowany w *Nowościach Illustrowanych*, tak wielkie wzbudził zainteresowanie, a „Józia — legionistką" opowiada o dalszych losach sympatycznej bohaterki „Wojennego małżeństwa".

Cena egzempl. 20 mrk., z przes. poczt. 22 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych", Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył S. Kalczyński, Jordanów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę francuskiego miasta:

```
    ■
  – ■ –
– – ■ – –
  – ■ –
    ■
– – ■ – –
  – ■ –
    ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Postać biblijna, 3. Rzeka w Polsce, 4. Rodzaj poezyi 5. Stan podobny do śmierci, 6. Część budynku, 7. Zwierzę, znane niegdyś na obszarze Polski i Litwy, 8. Spółgłoska.

Grzebieniówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko rosyjskiego jenerała:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Port nad Adryatykiem, 2. Inaczej związek, 3. Jeden z żywiołów, 4. Część kościoła, 5. Okres czasu.

Przysłowiówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) -a--a-c-c-a-ă--o-e-i--e-e-a.
2) -a--y-o-ie--e--ę---o-ie.

Okienko.

Ułożył Szklarz z Krakowa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a  a  a  a  a
a     b     e
e  e  e  j  j
k     k     ó
ó  r  r  t  t
```

Znaczenie wyrazów: 1. Polski minister, 2. Rzeka w Rosyi, 3. Imię męskie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył H. Lewicki, Lublin.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko postrachu kobiet paryskich:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Jedna ze stolic europejskich, 3. Dopływ Wisły, 4. Rzeka w Rosyi południowej, 5. Egipski bóg światła, 6. Samogłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. B., Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a. a, a, b,
b, e, e, e,
i, l, l, l,
l, n, o, o

Znaczenie wyrazów: 1. Postać biblijna, 2. Wyraz, używany przy liczeniu arkuszy papieru, 3. Imię hebrajskie, 4. Miasto w Hiszpanii.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył S. Sokołowski, Lwów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek powstanie refren znanej piosenki:

--a---o-e--a--o-e-i--u-a,
--i---a-o-io-e--u,-ie--u-a.

Zgłoskówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych zgłosek ułożyć popularny, a ucieszny wierszyk:

ba, ba, blansz, dy już, kie, mo, ni, nie, po, ra, róż, sta, że.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1. W. Przyborowskiego: „Czerwona mara" (Powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 46

Logogryf: A, Inn, brama, sto, o, Eli, Ufa, barka, Praga, rynek, ach lew.

Zadanie do przestawienia: Wiara ludzi uzdrawia.

Zadanie do uzupełnienia: Toga. aga, Kola, Eli, jota, Oka, noga, Ewa, Sota, cud, Ural.

Zadanie na rozsypane litery: Kazał pan, zrobił sam.

Rebus: Biedny śmielszy bywa do Pana Boga, niż do ludzi.

Kryształówka: A, oda, brama, tramwaj, **Adam Asnyk**, Krassin, gongo, syn, k.

Przysłowiówka: 1) Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, 2) Każdy pan na swoich śmieciach.

Okienko: Wawel, Wojna, Loara.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Balicki Sanok, M. Nalepa Kraków, J. Nowakowski Sandomierz, K. Madejski Płock, S. Sygnarski Rzeszów, M. Gross Tarnów, M. Jasińska Lwów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, M. Lewińska Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Milówka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, S Sygowska Rzeszów, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnow, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M, Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów, S. Cichocki Warszawa. S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica. J. Jastrzębski Lwów, W. Dutkiewicz Przemyśl, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Martynowicz Kielce. K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Raczyńsk Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Jabłoński Lublin, K. Lipski Wiedeń J. Taborski Warszawa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Nowak Sandomierz (książka), 2) W. Dutkiewicz Przemyśl (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 2 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.